



126 SEKUND NOCY

— tyle bowiem trwało pełne zaćmienie Słońca w punkcie obserwacyjnym PAN w Ogródnikach na Suwalszczyźnie, skąd obszerną relację naszych wysłanników znajdziecie na str. 6-7

Zdjęcie „Świat” — W. Sławny

LONDONOWSKA powieść „Żelazna stopa” kończy się zwycięstwem spisku amerykańskich oligarchów nad walczącą klasą robotniczą. Dopiero po siedmiu wiekach od owego powstania chicagowskiego — według postępowego amerykańskiego pisarza — zatriumfować miała epoka braterstwa ludów. Oligarchia kapitalistyczna zmonopolizowała całą władzę w państwie, zmonopolizowała sądy, policję i wojsko, a zatriumfowała nad robotnikami dzięki swej przewadze w uzbrojeniu, dzięki swej przewadze technicznej.

Jack London rozumiał dobrze charakter ustroju kapitalistycznego. Jednocześnie jednak nie umiał przewidzieć bliskiej przyszłości. Zwycięstwo klasy robotniczej, zwycięstwo ludów odsuwał gdzieś w bardzo daleką przyszłość, współczesność, wiek XX oddając bezapelacyjnie pod panowanie kapitału. Żelazna Stopa w jego książce odnosiła zwycięstwo.

Ten pesymizm zdawała się potwierdzać sytuacja klasy robotniczej na całym świecie w okresie, gdy London pisał swoją książkę, a mianowicie w początkach wieku dwudziestego, przed wybuchem i zwycięstwem Rewolucji Październikowej. Ale i to zwycięstwo i zbudowanie państwa radzieckiego nie wszystkim wyjaśniło do końca sens naszych czasów. Jasne było, że Rewolucja Październikowa zadecydowała o losach całej dawnej Rosji i wszystkich narodów dawną Rosję zamieszkujących. Równocześnie jednak znaczenie tego faktu dla całego świata staje się zrozumiałe coraz powszechniej w miarę upływu lat.

Przebieg i rezultat drugiej wojny światowej i wszystkie wydarzenia, które potem nastąpiły, dowodzą, jaka jest rola Związku Radzieckiego w świecie i jak, stale rosnący, ma na wydarzenia wpływ Październik. Powiedzieć można, iż w historii odwrotnie niż w fizyce. Im dalej znajdujemy się od źródła ciepła i światła, tym mniej je czujemy, tym słabiej nam świeci. Czas, oddalający nas od listopada 1917, nie osłabia, ale potęguje żar idei Października. Im dalej od Października, tym jego oddziaływanie jest dalsze, szersze i głębsze.

TO nie znaczy oczywiście, że fizyka stoi poza polityką. Bo właśnie o fizyce w związku z Październikiem chciałem pisać. A mianowicie o tym wielkim zwycięstwie fizyki i techniki radzieckiej, które uwieńczone zostało w końcu czerwca uruchomieniem pierwszej atomowej elektrowni w Związku Radzieckim.

Cóż ma wspólnego Londonowska „Żelazna Stopa” z energią atomową? Otóż bardzo wiele. London, wróg kapitalizmu, ugiął się w obliczu jego rzekomej wszechpotęgi. London przedstawił bunt robotniczy w taki sposób, że proletariatus musiał ulec swoim wrogom, posiadającym do dyspozycji wszystkie siły. Rozwój ludzkości poszedł inną drogą. Oczywiście, dreszcz nas przejmuje na myśl o takim świecie, w którym energia atomowa znajduje się wyłącznie w ręku takich ludzi jak Dulles lub McCar-

thy. Posiadanie przez nich wyłącznie takich źródeł potężnej energii otwierałoby istotnie przed światem jakąś ciemną epokę nowego niewolnictwa, epokę nie żelaznej, ale jeszcze potężniejszej — Atomowej Stopy. Fakt, iż Październik wyprzedził o lata całe odkrycia w dziedzinie fizyki atomowej, a przede wszystkim zastosowanie tych odkryć w praktyce, wyrwał oligarchii kapitalistycznej możliwości terroryzowania świata.

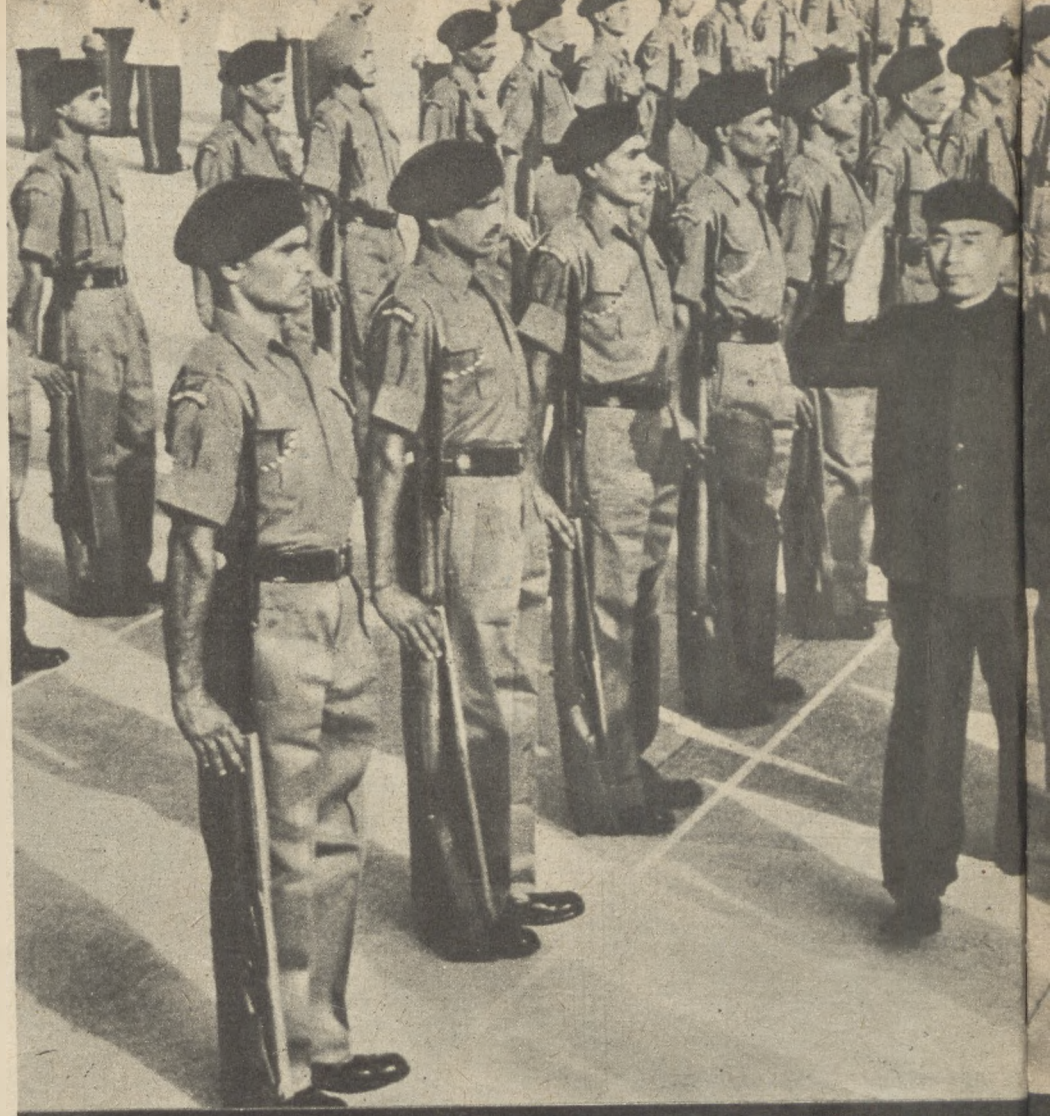
I odwrotnie — energia atomowa w dyspozycji socjalistycznego, potężnego państwa staje się nie tylko bronią, nakazującą poszanowanie ciemnym siłom imperializmu, ale również daje możliwość szybkiego zastosowania jej do celów pokojowych. W tym dziele państwo socjalistyczne o lata całe już wyprzedziło kraje kapitalistyczne. Czy stało się tak dlatego tylko, że Związek Radziecki ma lepszych uczonych, lepszych techników, większe środki zastosowania energii atomowej do celów pokojowych? Chyba nie o to tylko chodzi. Jeśli uczeni amerykańscy umieli skonstruować bombę atomową, a następnie wodorową, umieliby zapewne zastosować energię tę dla celów pokojowych.

ALE dla realizacji takiego dzieła, jak i wielu innych wielkich dzieł ludziom pożytecznych, nie wystarczy posiadanie surowców, technicznych i ludzkich możliwości. Istnieć muszą także warunki polityczne. W Stanach Zjednoczonych nie istnieją możliwości polityczne szybkiego zastosowania energii atomowej do celów pokojowych. Przede wszystkim dlatego, że każdy nowy, postępowy wynalazek w państwie kapitalistycznym trudny jest dziś do wprowadzenia, gdyż niweczy on kapitały zainwestowane w dawnych warsztatach produkcyjnych. Zbudowanie elektrowni atomowych w USA zagroziłoby kapitałom zainwestowanym w normalne elektrownie. Zastosowanie energii atomowej do celów pokojowych mogłoby zagrozić normalnemu funkcjonowaniu systemu kapitalistycznego.

Opieszałość władców Ameryki i innych krajów kapitalistycznych w zastosowaniu pokojowym energii atomowej dowodzi także ich pewnej bezradności wobec zadań, które stawia nowa epoka. Kapitalizm zdolny był do organizowania sił produkcyjnych narodów w epoce pary i elektryczności. Epoka energii atomowej nadchodzi w okresie, gdy kapitalizm jest już niezdolny do sprawnego podejmowania tak olbrzymich zadań. Dlatego państwo socjalistyczne przegania kraje kapitalistyczne. Bo socjalizm może, gotów jest i potrafi organizować gospodarke i produkcję z zastosowaniem najnowszej, najdoskonalszej techniki. Jego celem bowiem nie jest zysk, ale zaspokajanie coraz bardziej rosnących ludzkich potrzeb.

I dlatego epoka energii atomowej jest jednocześnie epoką socjalizmu. Dlatego obie te energie: społeczna — socjalizm i fizyczna — energia atomowa idą ze sobą w parze.

JAN SZELĄG



UROCZYSTE POWITANIE PREMIERA CHIN LUDOWYCH CZOU EN-LAJA

SAMOLOT, BOJSKO,

EDMUND OSMANCZYK

WGENEWIE powitał mnie deszcz, ziąb i pustka. Dopiero na przyszły tydzień zjadą tu ministrowie spraw zagranicznych pięciu mocarstw, a za nimi tłum dziennikarzy. Na razie Genewa, jak i cała Szwajcaria, żyje piłkarskimi mistrzostwami świata, czemu się nie dziwię, bo przebieg spotkań jest pasjonujący.

Zanim trafiłem do Genewy, zawdzieliłem o Kopenhagę, Frankfurt n/Menem, Zurych, Berno i Lozannę, gdzie zdążyłem na jeden z najwspanialszych meczów w historii piłkarstwa: Węgry — Urugwaj.

Przed dwoma tygodniami leciałem z Genewy do Warszawy przez Berlin najkrótszą trasą, teraz wypadło mi lecieć drogą bardzo okrężną, bo najpierw na północ, nad Bałtyk, potem skręt na zachód — w kierunku Kopenhagi. Lecieliśmy nad białą wełną chmur, przez które raz po raz prześwitywało ciemnosine morze i dopiero obniżyliśmy lot, gdy zbliżyliśmy się do Dani, która oglądana z góry przypominała jakieś fantazyjnie laubzegą powycinane deseczki, pomalowane na zielono z czerwonymi kropkami domków, płaskie barwne deseczki, pływające między Morzem Bałtyckim a Północnym.

W Kopenhadze na lotnisku spotkałem znajomych, wracających z Kongresu Pen Clubu w Amsterdamie: Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Parandowskiego, Wojciecha Żukrowskiego, Kazimierza Brandysa i Michała Rusinka, co wykorzystałem natychmiast do zebrania pięciu cennych autografów na pocztówce z kopenhaską syreną. Pocztówkę wysłałem do mej córki, która, biedactwo, będzie musiała niedługo w szkole męczyć się nad „rolą Iwaszkie-

wicza w literaturze 20-lecia”, albo nad „linią rozwojową Kazimierza Brandysa i W. Żukrowskiego w pierwszym 10-leciu budowania socjalizmu w Polsce”.

Po odlocie żywych przykładów z historii literatury polskiej nadleciał ze Sztokholmu potężny samolot transoceaniczny, lecący do Rio de Janeiro. Wyznaczono mi w nim miejsce, bo okazało się, że samolot do Genewy został odwołany, a ten olbrzym zatrzymuje się w Zurychu, skąd już nie będzie mi trudno dostać się dalej. Olbrzym skierował się więc na południe. Przez chmury dojrzałem wkrótce Hamburg, a po półtorzej godzinie wylądowałem we Frankfurcie n/Menem. Uspokojono mnie jednak zaraz, że po 50 minutach polecimy dalej do Zurychu. Nie gniewałem się, bo to pozwoliło mi stanąć na ziemi, podległej Herrn Adenauerowi i znaleźć się, choć na krótko, w tymże Frankfurcie n/Menem, do którego wizy odmawiają mi od dwóch lat z dziwnym uporem władze amerykańskie.

Lotnisko Frankfurt n/Menem znam od 9 lat, kiedy tu pierwszy raz wylądowałem w mundurze wojennego korespondenta. Odnawiano je wtedy, i wtedy to z czworograniastego słupa, stojącego jak pomnik obok wejścia do lotniskowego dworca, usunięto czarnego orla ze swastyką w szponach, a ustawiono globus, na którym umieszczono odlanego z brązu, prawie picassowskiego gołębia z gałązką oliwną w dziobku. Wokół globusa, nieco na ukos dano obręcz żelazną, ozdobioną czterokątnymi amerykańskimi gwiazdami, co miało symbolizować „Pax Americana”.

Z rozczuleniem odkryłem, że gołąb przetrwał te 9 lat, natomiast zauważyłem, że żelazna obręcz przesłania Gwatemalę, przecina Europę, biegnie przez



NA LOTNISKU INDYJSKIM PALAM

GENEWA...

Zdjęcia: KEYSTONE

Bliski Wschód, dotyka Indochin, rzuca cień na Indonezję, wchodzi na Australię, i pomyślałem z melancholią, jak to nawet symbole nabierają w ciągu lat coraz nowej treści.

Z kolei rozejrzałem się po salach lotniskowego dworca, po bogato przybranych reklamowymi witrynami frankfurckich sklepach, a dalej, przez szklane ściany oglądałem zażywających frankfurckich pijących piwo. Oczywiście, nie wytrzymałem, i mimo tablic ostrzegawczych, że jest „streng verboten“

opuszczenie sali przez pasażerów tranzytowych, wyszedłem z dworca i wdałem się w pogawędkę z ludźmi na ulicy, mówiąc, że byłem tu przed kilkoma laty i ciekawi mnie, jak teraz tu się żyje. Nagle wyszedł zza rogu patrol żandarmerii amerykańskiej, spytałem więc grubasa, właściciela drogerii, z którym rozmawiałem: — Co oni tu robią?

Machnął lekceważąco ręką, potem zniżył ją do ziemi i odpowiedział:

— Są tu dalej, ale już t a a c y y mali!

Military Police przeszli grzecznie, a grubas dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, powiedział dość niechętnie:

— Aha, z „Wolnej Europy“!

— Nie, z wolnej Warszawy!

— Co, wprost z Polski? Handel Wschód—Zachód? Bardzo dobrze! Bardzo dobrze!

‘Nie wyprowadzałem go z błędu, niech mnie bierze za przedstawiciela naszego Ministerstwa Handlu Zagranicznego i niech gada co myśli. Rozgadał się rzeczywiście, a głos drgał mu z rozżalenia, gdy mówił, że Amerykanie nie pozwalają handlować ze Wschodem, a Anglicy tymczasem handlują coraz więcej ze Wschodem, teraz z Chinami, przecież to jest rynek i dla Niemiec...

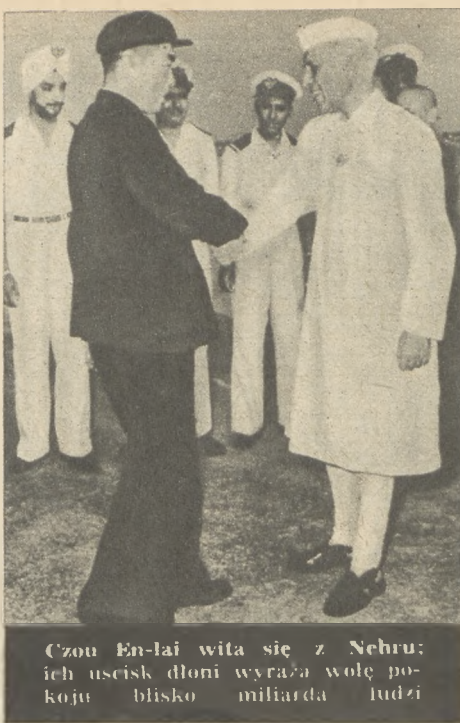
Musiałem, niestety, wracać, przy wejściu poczekałem chwilę, aż się urzędnik celny odwróci, po czym wsunąłem się do środka bardzo zadowolony, że jednak choć pół godziny chodziłem po zakazanej dla mnie ziemi.

Po 70 minutach byłem już w Zurychu. Dłuższy spacer po mieście i o północy pociąg do Berna.

W ciągu 16 godzin widziałem więc kolejno Warszawę, Kopenhagę, Frankfurt nad Menem, Zurych i wreszcie Berno, ale ciekawość — cnota reportera — nakazywała mi po krótkim wypoczynku w berneńskim hotelu i odwiedzeniu znajomych jechać szybko dalej, do Lozanny, gdzie o 18 zaczynał się mecz o wejście do finału piłkarskich mistrzostw świata, mecz Węgry — Urugwaj.

Nie miałem, co prawda, biletu, ale kartę dziennikarską, więc wymachując nią i tłumacząc, że wprost z Warszawy przyjechałem i muszę się dostać do kabiny sprawozdawców Polskiego Radia, zostałem przepuszczony i skierowany na najwyższe lawy amfiteatru, do wąskiej drabinki, sięgającej do otworu w betonowym dachu. Wdrapałem się więc na dach i zobaczyłem, że na samej krawędzi nad boiskiem ustawiono budki z mikrofonami dla sprawozdawców radiowych. Niska żelazna barierka odgradzała 30-metrową przepaść, której dno wyznaczała czerwona bieżnia wokół zielonego boiska. Bez trudu odnalazłem już teraz Tadeusza Pyszkowskiego i Witka Dobrowolskiego, ale gdy zacząłem się z nimi witać, beton pod nogami począł nam się ugiąć, a stojący na betonowej krokwi policjant począł na nas krzyczeć, że nie wolno trzem osobom stać w jednym miejscu razem, bo strop nie wytrzyma!

Usadowiłem się więc o pół metra dalej przy sprawozdawcy „Berliner Rundfunk“ i słuchając lewym uchem potoku



Czou En-lai wita się z Nehru: ich uścisk dłoni wyraża wolę pokoju blisko miliarda ludzi

reporterskiego sprawozdania w języku polskim, a prawym — w języku niemieckim, przyglądałem się z góry niezwykłemu w historii piłkarstwa meczowi, w którym mistrzostwo najwyższej klasy obu drużyn co chwila wywoływało entuzjazm publiczności, a dramatyczna kolejność bramek (2:0;2:2) i dwie 15-minutowe dogrywki (0:0; 2:0), oraz to siępiący, to ulewny deszcz przez całe dwie i pół godziny meczu — powodowało, że wszyscy, tj. 50 tys. osób na trybunach i kilkudziesięciu reporterów na dachach głównych trybun, i wreszcie 22 graczy na boisku, plus sędzia i sędziowie liniowi, byli jakby w transie, nieczuli na deszcz, ziąb i zmrok, które rozpościerały się nad stadionem, jak pajęczyna w ostatnich najdramatyczniejszych minutach dogrywki, kiedy to Kocsis, niesamowity Kocsis, dwa gole wbił do bramki Urugwajczyków, strzelając po mistrzowsku nie nogą, ale głową! Zapisać tu jeszcze trzeba, że przy jednym ze strzałów, ponieważ podana piłka szła bardzo nisko, Kocsis rzucił się na ziemię i z leżącej pozycji podrzutem głowy skierował piłkę w odległą o kilkanaście metrów bramkę!

Radioreporterzy 32 rozgłośni całego świata przekazywali błyskawicznie co najmniej 100 milionom słuchaczy w Europie i obu Amerykach opis Kocsisowych goli, wychylali się przy tym, chcąc widzieć lepiej, aż poza krawędź dachu, a betonowy strop kołysał się co chwila pod ciężarem lunatycznie tańczących wokół swych mikrofonów reporterów.

Ale na 5 minut przed końcem, gdy już zwycięstwo Węgrów w stosunku 4:2 było zdecydowane, trybuny ugiwały się od tupotu 100 tysięcy nóg, a dach zafalował od gwizdu 50 tysięcy ust. Była to reakcja na otoczenie boiska przez 1000 chyba policjantów, którzy stworzyli kordon dla ochrony graczy przed publicznością. Było to policyjne echo skandalicznego meczu Brazylia — Węgry, kiedy Brazylij-

czycy pobili po meczu i Węgrów i policjantów. Tym razem policja była niepotrzebna. Wiedziała o tym publiczność, zachwycona niezwykle dżentelmeńską grą obu drużyn. Stąd gwizdy i tupoty po 5 minutach zamieniły się w huraganowe brawa dla obu zespołów, gdy w sekundę po zakończeniu meczu Urugwajczycy poczęli serdecznie ścisnąć Węgrów, winszując im zwycięstwa. Było to prawdziwie piękne zakończenie tego prawdziwie sportowego meczu, który przejdzie do historii piłkarstwa.

Ociekając wodą dotarłem do dworca. Kupiłem gazety. W Bazylei, na stadionie Św. Jacka, wygrały Niemcy zachodnie z Austrią 6:1, a zatem w niedzielę w Bernie odbędzie się finał mistrzostw świata między Węgrami a Niemcami zachodnimi (obiecuje, że zaraz po meczu do was zadzwonię). Jednocześnie w Paryżu ambasador USA, mister Dillon, grozi Francji waszyngtońskim butem, jeśli Francja nie zgodzi się szybko na ratyfikację układu o armii antyeuropejskiej.

W niedzielę w Bernie, na stadionie, orkiestra będzie grała przed meczem przy wejściu drużyny zachodnio - niemieckiej „Deutschland, Deutschland über alles!“ Mister Dillon chce, by ten hymn grany był codziennie w całej zachodniej Europie, a przede wszystkim we Francji.

W Waszyngtonie mister Dulles triumfalnie obwieszcza zwycięstwo United Fruit Company nad Gwatemalą.

Z Południową Ameryką Węgry wygrywają w piłce nożnej głową. Amerykanie w polityce — podkutym butem

Mr Dulles przegrywa wojnę w Indochinach, a na lotnisku Palam mężowie stanu Indii i Chin uściskiem dłoni wyrażają wolę pokoju 960 milionów ludzi.

Plącze mi się sport z polityką. Czuję, wychodząc z dworca Geneve-Cornavin, że po tej 36-godzinnej podróży z Warszawy do Genewy, poprzez Kopenhagę, Frankfurt nad Menem, Zurych, Berno, Lozannę jestem jednak trochę zmęczony. W hotelu zasypiam jak kamień, a dziś rano, widząc zapłakane od deszczu okna, czytam gazety i zapisuję kartki przeżyciami minionych dwóch dni.

Z gazet czuję dziennikarskim nochałem, że sytuacja międzynarodowa znów staje się bardzo interesująca i już w przyszłym tygodniu w Genewie będzie bardzo ciekawie. Trzeba mimo deszczu wybrać się na miasto i dowiedzieć się, jak tu się sprawy układają, by móc o tym napisać dla „Świata“.

I w tej samej chwili uprzytamniam sobie niezbyt fakt, że, gdy jutro, 2 lipca, przekażę do „Świata“ te zapiski waszego korespondenta, wówczas ukażą się one w druku w numerze pod datą 11 lipca i wszyscy Czytelnicy będą już stokroć mądrzejsi ode mnie o znajomość wszystkich wydarzeń całego przyszłego tygodnia.

Nie będę się więc bawić w proroka. Zwracam tylko uwagę, że po piłkarskich mistrzostwach świata w Szwajcarii rozpoczyna się wkrótce w tejsze Szwajcarii najciekawszy okres konferencji genewskiej. Uwaga zatem na Genewę!

ŚWIĘTO REPUBLIKI PASTERZY

MONGOLIA ZEWNĘTRZNA — tak nazywała się Mongolska Republika Ludowa w czasach, kiedy była jeszcze kolonią cesarstwa chińskiego. Ogromny kraj o powierzchni pięciokrotnie większej od Polski i zamieszkały przez milion mieszkańców był terenem zgodnej współpracy obcych kupców-wyzyskiwaczy z miejscowymi klasztorami-feudalami.

Ruch wyzwolenczy grabionych i uciskanych aratów (pasterzy) wyrósł w wielką siłę po Rewolucji Październikowej, której echa dotarły aż tu, na skraj pustyni Gobi. W roku 1920 powstała w Mongolii Partia Ludowo-Rewolucyjna, której naród mongolski zawdzięcza wywalczenie niepodległości w lipcu roku 1921 (dzień 11 lipca jest odtąd świętem narodowym Mongolii) — oraz utworzenie republiki ludowej w czerwcu 1924 roku.

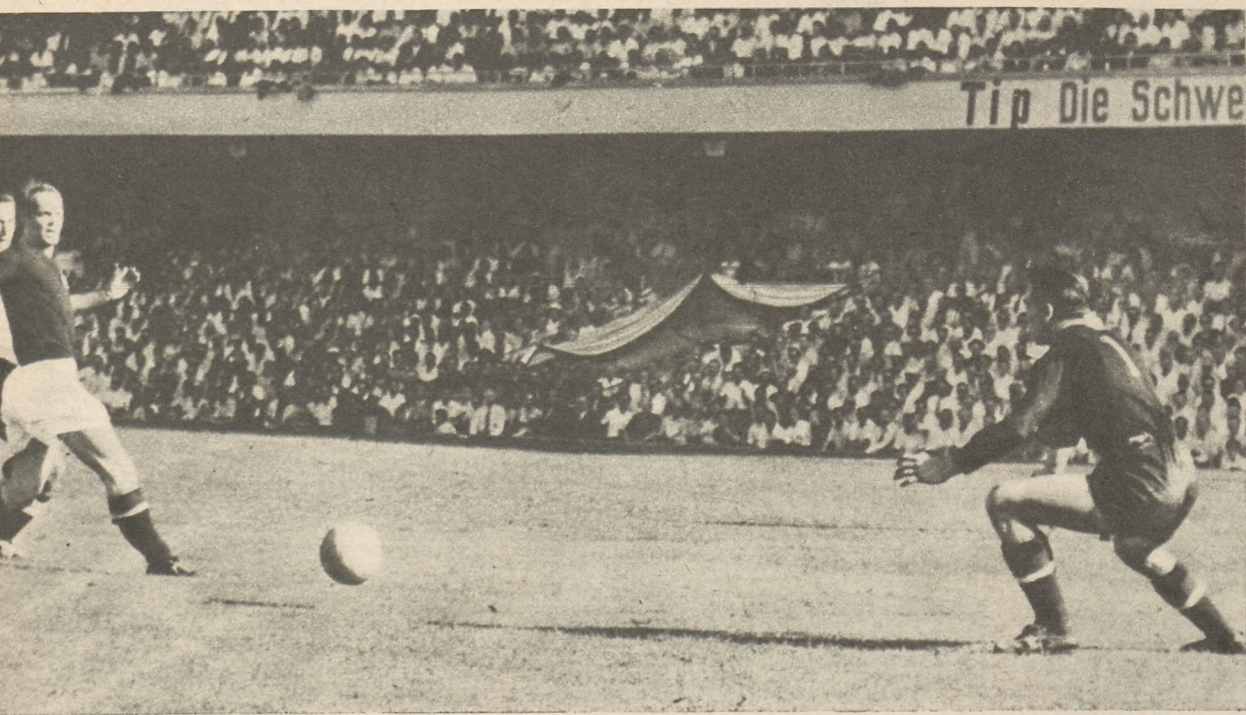
33 lata niepodległego bytu pozwoliły Mongolii osiągnąć poważne sukcesy ekonomiczne i kulturalne. Podstawowa gałąź gospodarki narodowej — pasterstwo koczownicze — opiera się dziś na nauko-

wych podstawach: zorganizowana została służba weterynaryjna, wprowadzono racjonalną eksploatację pastwisk, hoduje się nowe, wartościowe odmiany koni, wielbłądów, owiec i bydła. Na nawodnionych ziemiach rozwija się rolnictwo. W miastach powstało wiele zakładów przemysłu przetwórczego; rośnie wydobycie węgla, cennych metali (m. in. złota) i soli. Pierwsza w Mongolii linia kolejowa połączyła stolicę Ulan-Bator z magistralą transsyberyjską, dzięki czemu ożywiła się znacznie wymiana handlowa ze Związkiem Radzieckim — głównym dostawcą towarów i urządzeń przemysłowych dla Mongolii.

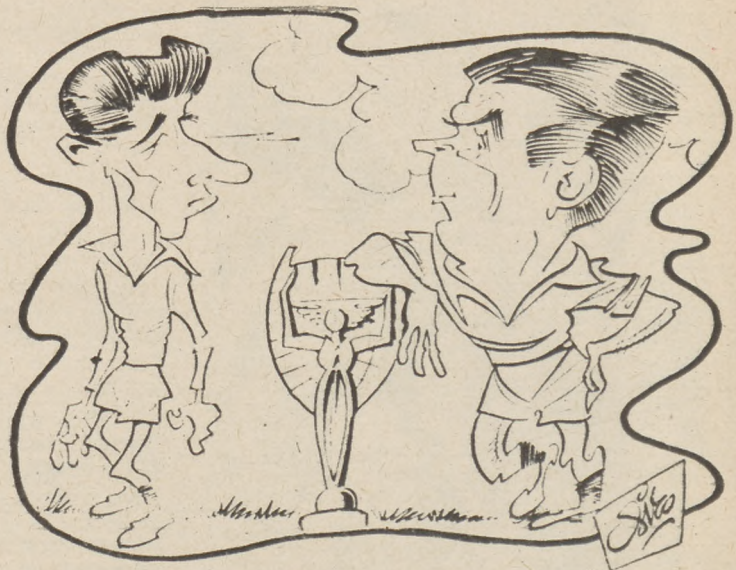
Przed laty umiało w Mongolii czytać i pisać tylko wyższe duchowieństwo. Obecnie posiada Mongolia uniwersytet, około pięćset szkół różnego typu (liczba analfabetów nie sięga dziś nawet 15%). Szybko rozwija się w Mongolii prasa: ukazuje się już 27 gazet i 14 czasopism. W stolicy działa studio filmowe, a w całym kraju — ponad 20 teatrów. W społeczeństwie mongolskim wyrosła nowa warstwa — inteligencja.



UNIwersytet im. CZOJBALSANA W MIEŚCIE ULAN-BATOR



Węgrzy w eliminacyjnym meczu z Niemcami zachodnimi wygrali bez trudu 8:3, byli wówczas jeszcze niezmęczeni ciężkimi spotkaniami z Brazylią i Urugwajem. Na zdjęciu groźny przebój Lantosa i strzał do bramki



Urugwajczyk Schaffino i Węgier Puskas w karykaturze.

NA STADIONIE W BERNIE

TELEFONEM
OD SPECJALNEGO WYŚLANNIKA
Zdjęcia: Keystone

Walka o piłkę stawała się coraz bardziej zażarta. Niemiec Pfaff usiłuje się przedostać pod bramkę węgierską, lecz na drodze wyrasta mu przeszkoda w postaci Loranta. Piłka znów więc powróci na stronę niemiecką



WDRODZE powrotnej z Berna do Genewy zatrzymaliśmy się w jakiejś małej miejscowości przy stacji benzynowej. Obiegli nas natychmiast mieszkańcy wioski z pytaniami, czy wracamy z meczu Węgry — Niemcy zachodnie? Przytaknęliśmy i wtedy uszyliśmy znów to samo, co już słyszeliśmy na stadionie i poza stadionem ze strony publiczności nie-niemieckiej:

— A to szkoda, że nie wygrali Węgrzy! Zasluzili na mistrzostwo swiata!

W głosach zbieranych po drodze, jak i w dzisiejszej prasie szwajcarskiej, wszędzie przebiegała szczerza sympatia dla drużyny węgierskiej, która faktyczne mistrzostwo swiata wygrała w meczach najbardziej dramatycznych z najgroźniejszymi przeciwnikami: z Brazylią i z Urugwajem.

Wśród sportowych fachowców wytworzyła się zgodna opinia i słusna opinia, że drużyna węgierska miała bardzo ciętkie dojście do finału, przeciwnie niż drużyna niemiecka, ponieważ loteria losowania wyznaczyła Węgom za przeciwników tych, którzy winni znaleźć się w finale. Te ciętkie mecze w ćwierć i półfinale zaważyły na kondycji Węgrów, którzy pokazali w niedzielę w Bernie grę dobrą, ale już nie tak mistrzowską, jak na meczu z Urugwajem w Lozannie.

Niemcy szli do finału po płaskiej łące, Węgrzy wdzierali się na stromą górę, musząc eliminować niedawnych wicemistrzów i mistrzów swiata.

Piłkarze niemieccy, wysocy, potężnie zbudowani stosowali „granle na silę”: gdy atakują, starają się dzięki przewadze fizycznej przebić przez mniejszych i szczuplejszych od siebie przeciwników, gdy bronią, to szybko gromadzą się prawie wszyscy na swoim polu i tworzą mur potężnych ciał.

Nie mam zamiaru pomniejszać wyszkolenia drużyny zachodnio-niemieckiej, pragnę tylko wskazać na szczegóły najistot-

Włosi rozpoczęli eliminacje dość szczęśliwie zwyciężając Belgów 4:1, ale krótka była ich radość, gdyż





ZNAWCY PIŁKARSTWA OCENILI MECZ WĘGRY-BRAZYLIA (4:2) JAKO WŁAŚCIWY FINAL MISTRZOSTW. NA ZDJĘCIU KOCSIS W WALCE Z BRAMKARZEM

niejszy, że technika i taktyka zachodnio-niemieckiej drużyny jest obliczona tylko na zespół, złożony z wysokich, potężnych atletów. Podobny team tworzyli tylko Brazylijczycy.

Sympatia, którą w czasie światowych mistrzostw zdobyli sobie Węgrzy, wywodzi się natomiast z faktu, że nasi przyjaciele zaprezentowali na boiskach szwajcarskich zespół fizycznie dość przeciętny, rzecz prosta, doskonale przy tym wysportowany, natomiast drużynę mistrzowsko zgraną, mistrzowsko opanowaną, pracującą na boisku równie spokojnie głową, jak szybko nogami. Nie jestem fachowcem sportowym, ale starym miłośnikiem piłki nożnej i, widząc po raz pierwszy w Lozannie Węgrów, nie mogłem wyjść z podziwu patrząc na precyzyjność ich gry zespołowej.

— Węgrzy stworzyli nową szkołę — powiedział mi szwajcarski spec zaraz po meczu — i to jest ich największe zwycięstwo, niezależnie od wyników światowych mistrzostw.

Zapewne, że nie byłoby tego smutku wielu tysięcy widzów i wielu milionów radiowych słuchaczy berneńskiego radia, gdyby wygrali w Bernie nasi przyjaciele. Jeśli piszę o zwycięstwie węgierskiej nowej szkoły, to nie dla pocieszenia serc i wygnania z nich żalu do Puskasa, Kocsisa, Csibora, że w niedzielę nie wykorzystali, czy nie mogli, czy nie umieli — to obojętne — pokazać całej potęgę swojej nowej szkoły. Piszę to natomiast z głębokiego przekonania, że prawdziwie sportowy rozwój piłki nożnej, jako masowego amatorskiego sportu milionów młodych zdrowych ludzi, pójdzie po linii węgierskiej.

Dziękuję tymi wrażeniami, pisany mi na gorąco późno w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Wiem tylko jedno na pewno, że bardzo chciałbym, by jak najszybciej nasze piłkarstwo przejęło maksimum węgierskiej szkoły.

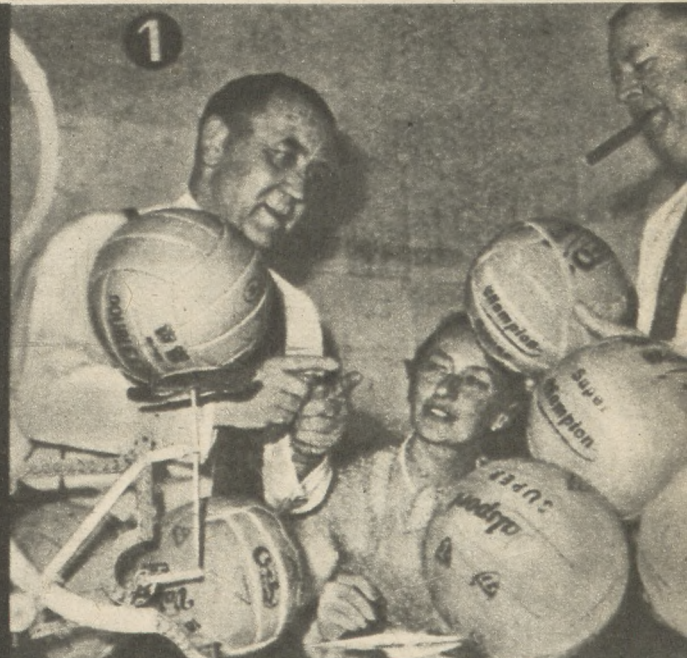
EDMUND OSMANCZYK

przegrali dwukrotnie ze Szwajcarią 1:2 i 1:4, musieli więc zapakować walizki i powrócić do domu



Nie pomogły poranne treningi angielskiego bramkarza Merricka. Anglicy zostali wyeliminowani

W tej olbrzymiej kasie znajduje się bezcenny skarb: marzenie wielu — bilety na finałowy mecz



Prezes Szwajcarskiego Związku Piłkarskiego sprawdza piłki przed mistrzostwami świata

Na mecz finałowy gospodarze chcieli zmieścić jak najwięcej widzów. Uczylni próbę: 5 widzów na 1 m²



126



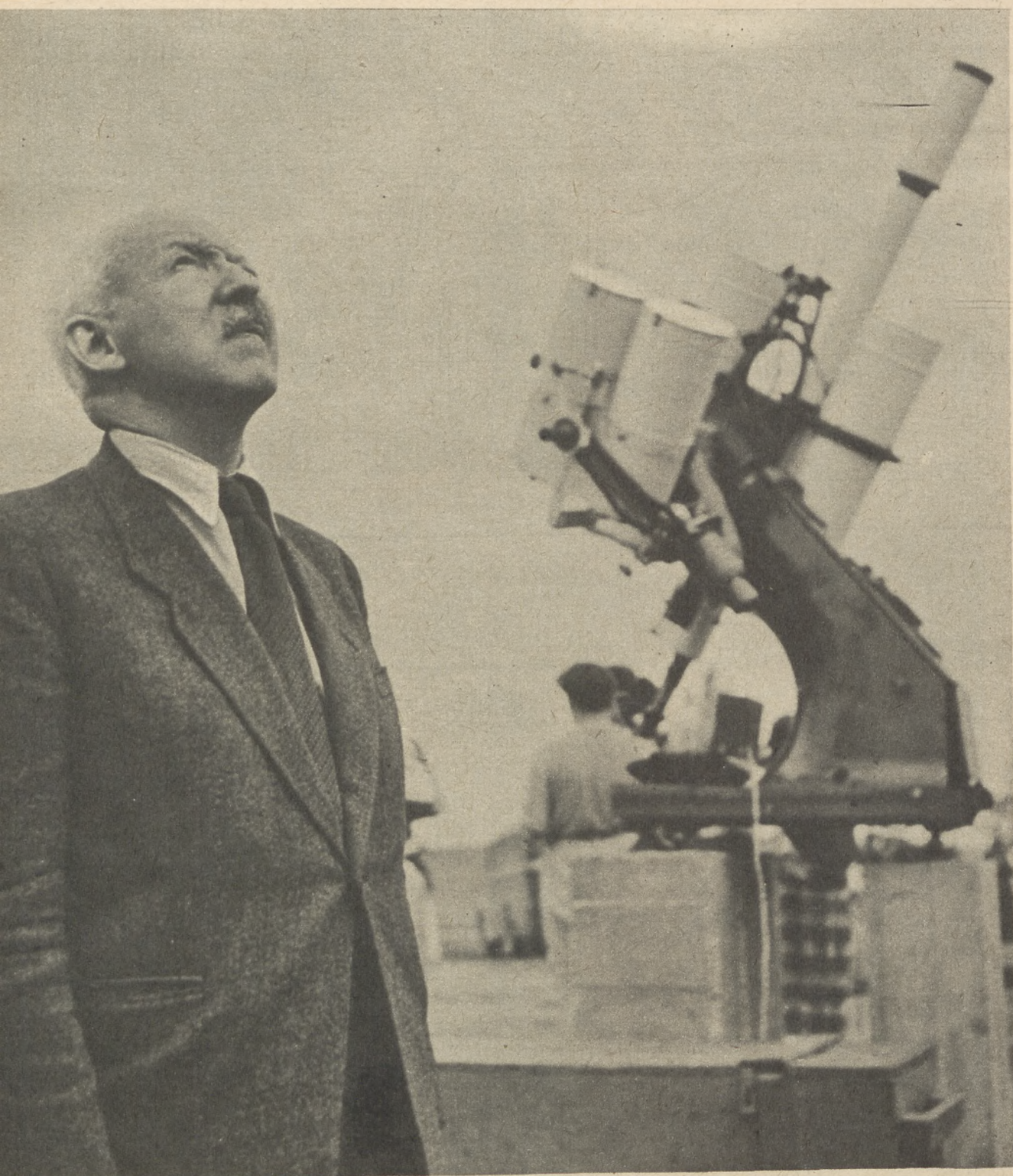
Godzina 13 i 45 sekund. W prawej części tarczy słonecznej jest już doskonale widoczny nachodzący krąg Księżyca. Widać także oświetlone Słońcem obłoki.



Godzina 13, 54 minuty, 20 sek. Niemal cała tarcza Słońca jest już zasłonięta przez Księżyc. Pozostał wąski sierp, obrócony rożkami w prawą stronę.

SEKUND

Kierownik ekip naukowych PAN, prof. Eugeniusz Rybka, z niepokojem wpatruje się w zachmurzone niebo. Jeśli się nie wypogodzi — plan naukowy starannie przygotowanej wyprawy naukowej może być bardzo nikły...



Napisał: EDWARD KARŁOWICZ

Zdjęcia: W. SŁAWNY, K. JANOCHOWSKI, M. JURKO

Zdjęcia zaćmienia Słońca (u góry)
wykonane przez ekipę „ŚWIATA”

W

IOSNĄ ubiegłego roku bawił na Suwalszczyźnie dr Kordelewski z Polskiej Akademii Nauk. Przyjechał na tę piękną ziemię wcale nie w celach turystycznych, jakkolwiek w ciągu krótkiego czasu odwiedził około 50 miejscowości. Zaglądał do szkół, na plebanie, do strażnic WOP-u, pomagał kreślić tabelki, obliczać średnie arytmetyczne pomiarów.

Po wyjeździe dr Kordelewskiego w pięćdziesięciu punktach Suwalszczyzny nauczyciele, księża, oficerowie Wojsk Ochrony Pogranicza zajęli się w okresie od 15 czerwca do 15 lipca ub. r. dodatkową pracą: odnotowywali skrupulatnie temperaturę, kierunek wiatru, a zwłaszcza stopień zachmurzenia w swojej miejscowości. W rezultacie tych pomiarów powstała mapka, na której dość wyraźnie zaznaczały się trzy kółka — miejsca o stosunkowo małym zachmurzeniu. W środku tych kółek znajdowały się trzy miejscowości: Wiżajny, Trakiszek, Ogrodniki.

Zaćmieniem Słońca w dniu 30 czerwca roku 1954 uczeni nasi zajęli się już dawno. Dużą rolę w przygotowaniach odgrywało wyznaczenie miejsc, w których ekipy PAN dokonywać będą obserwacji. Meteorologia nie może jeszcze z całą dokładnością określić, jaka będzie pogoda w danym miejscu o oznaczonej ściśle porze. Dlatego należało wybrać miejsca, gdzie prawdopodobnie pogoda będzie najkorzystniejsza. Tym właśnie zajął się w ubiegłym roku doktor Kordelewski.

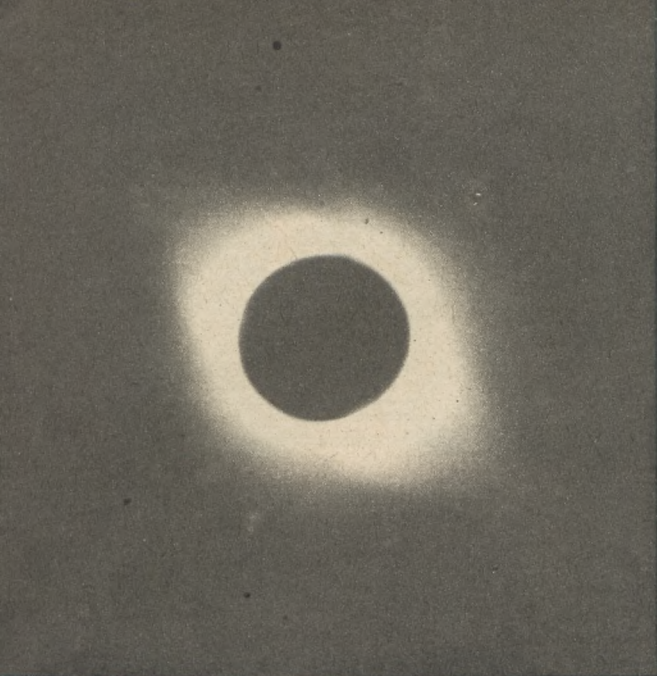
Trzeba stwierdzić, że wybór był fortunniejszy od tego, jakiego dokonali astronomowie amerykańscy w czasie jednego z poprzednich zaćmień. Udali się oni mianowicie do pewnej miejscowości w Kalifornii, gdzie — według zapewnień meteorologów — przez 361 dni w roku panuje całkowicie bezchmurna pogoda. Pech jednak chciał, że w momencie, kiedy astronomowie skierowali instrumenty w stronę kryjącego się za Księżycem Słońca — lunął jeden z niezwykle rzadkich w tej okolicy deszczów...

W wigilię zaćmienia w Suwałkach, gdzie rezydował sztab polskich astronomów, liczono na pogodę. Tym niemniej profesor Eugeniusz Rybka, który dyrygował pracą trzech ekip PAN, kończył każde zdanie, skierowane do dziennikarzy, zwrotem: „Będą to mogli państwo zobaczyć, jeśli nam nie przeszkodzą chmury”.

Ta uzasadniona u naukowca ostrożność sądów nie udzieliła się jednak setkom wycieczkowiczów, którzy bez przerwy wysypywali się z przybywających do Suwałk pociągów i autobusów. „Tak rzadko bywa u nas pełne zaćmienie i miałyby jeszcze być pochmurno? Niemożliwe!”

W schronisku PTTK nad jeziorem Wigry nocowały tłumy: w dwóch budynkach schroniska, w magazynie kajaków, w namiotach, pod gołym niebem. O czwartej nad ranem jeden z fotoreporterów „Świata” wyskoczył ze spinningiem na szczupaki (zaćmienie zaćmieniem, ale dobra ryba nie jest zła...). Wrócił bardzo szybko. „Leje jak z cebra!” Z czterdziestu łózek podniosły się zaspane twarze. „Naprawdę? To ci dopiero historia...”

Około siódmej przestało padać, było jeszcze pochmurno, od czasu do czasu zza zasłony obłoków błyskało słońce. Meldunki z Wiżajn, Trakiszek i Ogrodnika donosiły o częściowym rozpozgodzeniu, szczególnie w tej ostatniej miejscowości. W Sejnach, gdzie pod



Godzina 14:01:10 sek. Całkowite zaćmienie trwa już około półtorej minuty. Doskonale jest widoczna tylko korona słoneczna o wyraźnie wydłużonym kształcie



Godzina 14:01:45 sek. Szczęśliwie uchwycony moment końca zaćmienia całkowitego. Korona jeszcze widoczna; z prawej strony już ukazuje się rąbek Słońca



Godzina 14:02:20 sek. Drobną sierp Słońca świeci już jaszkrawo, ale jeszcze można zauważyć ledwie dostrzegalny pełny zarys ciemnego kręgu Księżyca

batutą prof. Jana Gadomskiego przygotowywał się do badań zespół astronomów-amatorów, było nawet dość pogodnie. Na lotniskach jednak czekały gotowe do startu samoloty, z których będzie się dokonywać obserwacji ponad chmurami.

O jedenastej ruszamy w stronę Ogródnik. Po drodze zatrzymujemy się w Sejnach. W ogródku przy szkole metalowej rojno. W mrocznym korytarzu szkoły — grupy ludzi, pochylonych nad zapalonymi świeczkami. To pesymiści — dopiero teraz uwierzyli w możliwość obserwowania zaćmienia i na gwałt kopcą szkła. Przed budynkiem kilka osób z niepokojem wpatruje się w horyzont, skąd nadciągają duże, ciemnoszare obłoki. Na pobliskiej wieży kościelnej pokazuje się sylwetka człowieka z lunetą. Patrzy w tę samą stronę. Nad Sejnami zawisło niebezpieczeństwo...

Później okazało się, że złośliwe obłoki, które tyle krwi napsuły miłośnikom astronomii, odsłoniły Słońce dosłownie w kilka minut przed początkiem zaćmienia całkowitego.

Jedziemy dalej. O kilometr w bok od szosy — Ogródniki. Na pagórkowatej łące przy budynku szkoły podstawowej sterczą w niebo lufy obiektywów i lunet. Okna szkoły starannie zaciemnione — to naukowcy przygotowali wcześniej ciemnie fotograficzne dla uzyskania części zdjęć „na gorąco”.

Prowizoryczny parking obok drogi zapelniają coraz to nowe samochody i autokary. Grupy wycieczkowiczów otaczają zwartym pierścieniem ogrodzoną sznurkiem przestrzeń, na której zmontowano instrumenty naukowe. Jeden z astronomów głośno podaje dokładny czas. Do początku zaćmienia jeszcze kilka minut. Montujemy ze sławnym nasz sprzęt do fotografo-

wania Słońca w czasie zaćmienia. W porównaniu z lunetami astronomów wygląda on niepozornie. Naukowcy spoglądają nań jednak bez lekceważenia, więc może co z tego wyjdzie?

I oto ruch wśród astronomów. Zajmują stanowiska przy aparatach, jeszcze raz sprawdzają każdy szczegół. Nagle — głośny okrzyk:

— Uwaga — pierwszy kontakt!

Zawarczały aparaty filmowe, naukowcy przywarli do swych aparatów. Pierwszy kontakt — to znaczy, że ciemny krąg Księżyca dotyka jasnej tarczy Słońca. Patrzymy w niebo przez zaciemnione szkło — nic nie widać! Ale oto na skraju słonecznej tarczy można odróżnić zaokrąglone wgłębienie, z początku ledwie dostrzegalne, potem coraz wyraźniejsze. Przez jasne tło tarczy Słońca bez przerwy przesuwają się obłoki. Dodaje to uroku oglądanemu zjawisku, ale przeszkadza mocno astronomom.

Do pełnego zaćmienia jeszcze godzina; napięcie powoli opada. Mijają minuty, krąg Słońca powoli przekształca się w sierp. Chwilami warstwa chmur gęstnieje i wtedy można oglądać „uszczupełone” Słońce bez szkielek. Coraz więcej spojrzeń kieruje się na północny zachód, skąd napływają nowe pasma obłoków. „Żeby nam tylko nie zasłoniły korony...” — ktoś głośno wyraża ogólne obawy.

Kilka minut przed godziną drugą. Na niebie świeci już tylko wazutka sierp. Zaciemnienie jest jeszcze ciągle niewielkie, ale cały krajobraz przybiera coraz wyraźniej ziemistozary odcień. Zastona chmur przegradza się. Sierpek Słońca maleje dosłownie w oczach.

Dokończenie na str. 8

Ciemno, zupełnie ciemno. Naukowcy, którzy od wielu miesięcy dosłownie „żyli” zaćmieniem, teraz ledwie mogą znaleźć chwilę czasu, by rzucić okiem na mroczne niebo i zobaczyć niezwykle efektowną koronę słoneczną



W tej pozycji najlepiej ogląda się zaćmienie, zwłaszcza na murawie w przyjemnym ogródku w Sejnach



Usmiliśmy się trochę przy kopceniu szkielek, ale teraz oglądamy zaćmienie jak prawdziwi astronomowie

Miłośnicy astronomii w Sejnach mieli sprzęt, zapal i najlepsze chęci. Brakło tylko wprawy. Ale to dopiero ich pierwsze całkowite zaćmienie Słońca...



WSPOMNIENIE ZYGMUNCIE MODZELEWSKIM

WIKTOR GROSZ



Bolesław Bierut i Zygmunt Modzelewski w Belwederze



Julian Tuwim i Zygmunt Modzelewski na wycieczce

WYJEŻDŻAŁEM z kraju na służbę zagraniczną, kiedy Zygmunt Modzelewski był jeszcze ministrem spraw zagranicznych.

Ciężko schorowany, odsunięty przez lekarzy od pracy na pełnych obrotach, interesował się wciąż najważniejszymi zagadnieniami dyplomacji światowej i polskiej.

Wiedzieliśmy — pracownicy polskiej służby zagranicznej — że Modzelewski już do nas nie wróci, że będzie musiał przejść do innej pracy, mniej szarpiącej zdrowie i nerwy, ale pomimo wszystko radowało nas to jego ciągle zainteresowanie, radował i uczył każdy kontakt z jego nieprzeciętnym umysłem i talentem politycznym.

Przez chwilę mieliśmy nawet złudzenie, że może jednak...

Bo oto jesienią roku 1950, podczas Praskiej Konferencji ministrów spraw zagranicznych, poświęconej zagadnieniu niemieckiemu, zabłysnął Zygmunt Modzelewski ostatni raz na wielkiej arenie dyplomacji międzynarodowej.

Jego wkład osobisty w tę Konferencję, głębokość i trafność wszystkich jego uwag, przenikliwość i dalekowzroczność polityczna, mądry i życzliwy stosunek do narodu niemieckiego — wszystko to sprawiło, że polski minister spraw zagranicznych stał się na Konferencji Praskiej jedną z centralnych postaci. Podkreślili to zgodnie przedstawiciele zaprzyjaźnionych krajów.

Szanowany był również przez wrogów. Gdy wchodził na trybunę podczas konferencji międzynarodowych, dziennikarze prasy reakcyjnej tłumnie śpieszyli z bufetu na salę. Od Modzelewskiego zawsze oczekiwali czegoś, co będzie zasługiwało na wydrukowanie. I nie zawiedli się nigdy. Celność argumentacji, dowcip, ironia, sarkazm, wszystko na tle wielkiej erudycji — oto co zmuszało do uwagi nawet wrogów naszego obozu, kiedy występował Zygmunt Modzelewski.

Dumni byliśmy z niego, toteż żalowaliśmy serdecznie, że musiał — po wspaniałym fajerwerku praskim — odejść na zawsze od czynnej służby dyplomatycznej. Żalowali tego zresztą nie tylko Polacy, lecz wszyscy dyplomaci naszego obozu, którzy odczuli odejście Modzelewskiego jako stratę świetnego bojownika, znakomitego polemisty, nieubłaganego wroga i demaskatora obozu wojennego.

Było cechą charakterystyczną jego żarliwej natury, że do każdej pracy zabierał się z jednakowym zapalem, każda mu była najważniejsza. Tego żaru nie ugasiły w nim lata ciężkich przeżyć i więzień.

Tego żaru nie ugasiła nawet ostatnia, śmiertelna choroba. Z pewnością przecież odczuł boleśnie, że nie będzie mógł tak jak dawniej staczać zaciętych, bezpośrednich bojów z wrogami pokoju i socjalizmu. Ale mimo to do nowej pracy, na froncie naukowym, wniósł — on, śmiertelnie chory — tyle ognia, że zadziwił wielu młodszych i z pewnością zdrowszych pracowników nauki.

W tej umiejętności przedstawienia wewnętrznego ognia na nowy, „spokojniejszy“ odcinek pracy i walki, okazał się raz jeszcze komunistą bez skazy, bojownikiem jakich mało.

I kiedy na moje pytanie, czy go wciągnęła praca naukowa — jego, żołnierza rewolucji, przywykłego do płomiennej, frontowej walki — odpowiedział, patrząc mi prosto w oczy:

— Tak. Całkowicie i bez reszty — wiedziałem dobrze, że się nie oszukuje, że mówi prawdę. Potwierdzają to wszyscy współpracownicy ostatnich lat życia i działalności Zygmunta Modzelewskiego.

Wróciłem do kraju po kilkuletniej służbie zagranicznej, na którą mnie wysłał jako minister. Chciałem — jak za każdym przyjazdem do Polski — znów zgłosić się do Zygmunta Modzelewskiego, poradzić się, pomówić o planach i zamiarach na przyszłość.

Spóźniłem się o kilka godzin. Był już w trumnie.

Niosąc go razem z towarzyszami do grobu, wspomniałem przez całą drogę, jak przed dwunastu laty, gdy brunatna fala hitlerowska zalewała Białoruś i Ukrainę, niosłem razem z Zygmuntem Modzelewskim inną trumnę drogiego towarzysza. Chowaliśmy wtedy, wiosną 1942 roku, Julka Bruna (Bronowicza).

I choć gardło miałem na Powązkach równie ściśnięte, jak wtedy w Saratowie, przecież nie mogłem nie myśleć, że jednak Zygmunt był szczęśliwszy.

Dożył. Doszedł. Po całym życiu walki o Polskę Ludową zdążył do jej narodzin rękę przyłożyć, zdążył zostać jej budowniczym.

Nakończono ze str. 7

Władysław Sławny systematycznie prztyka, ja notuję czas według zegarka, sprawdzonego z chronometrami astronomów.

— Do lunet! Cisza!

I jakby w odpowiedzi na to hasło kierownika grupy badawczej sinawy mrok poczyną szybko gęstnieć. Z wyjątkiem jedynie chyba astronomów wszyscy zwracają oczy w niebo. Jeszcze nie ściemniło się zupełnie, gdy pełną napięcia ciszę przerywa okrzyk któregoś z widzów:

— Oooo, Wenus!

Ciemność zapada nagle. Słońce znikło już całe za tarczą Księżyca. Uplywają sekundy, odmierzone uderzeniami metronomu. Powiało chłodem, potęgującym nastrojów grozy i niezwykłości. Nagle — znów okrzyk, tym razem z dziesiątków piersi:

— Jeeest!...

Perlisto-srebrnym, lśniącym wieńcem zabłysła wokół ciemnej tarczy korona słoneczna. W prawdziwie nocnej ciemności lśni ona teraz, pulsując barwami, zmienia lekko kształt, rozszerza się na boki w ledwie dostrzegalne smugi promieni.

Sto dwadzieścia sześć sekund — dokładnie tyle, ile

przewidywano — trwa zupełny mrok. Ci, którzy są w stanie oderwać wzrok od fascynującej korony słonecznej, widzą za przejrzystą powłoką chmur pojedyncze gwiazdy. Gdyby niebo było czyste, można by ich dostrzec więcej, ale i tak widok jest niezwykle, można powiedzieć wstrząsający.

Teraz na prawym skraju ciemnej tarczy wykłuta oślepiający błysk, w ciągu paru sekund robi się niemal zupełnie widno. Koniec całkowitego zaćmienia. Już poprzez chmury świeci znów wąziutki sierp Słońca, odwrócony tym razem różkami w lewo.

Ktoś obok mnie mówi:

— Gdybym nie wiedział, jak to się skończy, miałbym porządnego pietra...

Uderzająca trafność tego stwierdzenia! „Gdybym nie wiedział, jak się skończy...” Wiedzieliśmy wszyscy, niektórzy nawet bardzo dokładnie, ale mimo to w momencie pełnego zaćmienia niesposób było się oprzeć uczuciu (kto się wstydzi — niech się nie przyznaje!) jakiegoś podświadomego niepokoju. Przez dwie minuty nie było Słońca! I jakże łatwo teraz zrozumieć paniczny strach ludzi w ubiegłych wiekach, którzy nie wiedzieli, jak to się skończy! Jakże łatwo mogli nie licząc wtajemniczeni wygrać dla swoich celów te chwile przerażenia, które musiało ogarnąć miliony ludzi!

Dziś wiedzieli wszyscy. Mogli nawet na podstawie zaćmienia regulować swoje zegarki, jakkolwiek — jak się później okazało — zaćmienie całkowite spóźniło się niemal o pełne trzy sekundy.

Jest już zupełnie jasno. Na niebie błyszczy już szeroki sierp. Astronomowie czekają jeszcze na moment ostatniego kontaktu (ostatecznego zejścia kręgu Księżyca z tarczy Słońca), ale opodał na łączce warczą już zapuszczone motory wycieczkowych autokarów. Studenci z Krakowa i Torunia pokazują sobie rysunki kształtu korony, wykonane — rzecz zrozumiała — w czasie pełnego mroku. Po paru minutach. ośrodkiem powszechnego zainteresowania stają się kioski suwalskich spółdzielni, gdzie można nabyć lody, kanapki i czekoladę. Do chwili pełnego zaćmienia nikt na nie nie zwracał uwagi, a teraz okazuje się, że nawet najbardziej niezwykle zjawiska nie potrafiły „zaćmić” normalnego apetytu.

Przy autobusach i samochodach gwar rozmów. Ludzie dzielą się wrażeniami, wyrażają uznanie dla uprzejmości zaafekowanych bądź co bądź naukowców, chowają niepotrzebne już szkła i lornety. I żegnając się, używają zamiast zwykłego „do widzenia” — nowego, optymistycznego zwrotu:

— Do następnego zaćmienia!

EDWARD KARŁOWICZ



JEDENAŚCIE MIESIĘCY W KOREI

(5)

Fotoreportaż własny „Świata”

W czasie przeprawy przez szeroko rozlane rzeki było się bezbronnym. Samoloty krążyły nad każdą ważniejszą szosą, węzłem kolejowym, przeprawą, mostem...



CHOCIAŻ na teren szpitala wojna docierała głównie poprzez swoje ofiary i echa, a lekarze zapracowani od rana do zmroku w tym piekle pokonywać musieli raczej jej skutki, to i tam pojawiał się wróg. Któregoś dnia lotnictwo amerykańskie dokonało potężnego nalotu na węzeł kolejowy w Hieronie. Bomby rozbiły mosty łączące ten rejon ze światem. W biały dzień któryś z samolotów zrzucił dwie bomby na teren Sankua. Na szczęście obyło się bez ofiar. Każdy wyjazd na wojenne koreańskie drogi stawiał nas oko w oko ze śmiercią i szalejącą bezwzględnością walką. Zнали to dobrze nasi zaopatrzeniowcy i szoferzy krążący regularnie między szpitalem a chińskim pogranicznym miastem Antung, skąd dowożono leki i żywność. Trzystukilometrowa trasa przez góry, pod ciągłą groźbą nalotów i katastrof mocno zapisała się w pamięci naszych ludzi. Jeździć w owe miesiące wojenne można było tylko samochodami. W dzień samoloty krążyły nad każdą ważniejszą szosą, węzłem kolejowym, przeprawą, mostem. Powietrzni piraci szaleli. Toteż jeździło się przeważnie nocą. To znowu przedstawiało inne niebezpieczeństwo. Drogi wszędzie gorskie, kręte, niemożliwością było jeździć bez świateł. Świecąc reflektorami, przy warkowaniu maszyny nikt nie dostrzeże ani nie usłyszy nadlatującego samolotu. Toteż jechało się na los szczęścia, polegając na strażnikach chińskich, którzy rozstawieni wzdłuż głównych szos sygnalizowali strzałami zbliżające się samoloty. Huk wystrzału słyszano się w górach mimo warokotu samochodów, trzeba było gasić światła i przeczekać. Szczególnie niebezpieczne było zetknięcie się nocą z pędzącym chyłkiem pociągami, który z reguły pilotowany był przez nieprzyjacielskie samoloty. Również w czasie przeprawy na łódkach przez rozlewiste rzeki było się bezbronnym. Trudno zapomnieć te pełne napięcia nocne i dzienne podróże.

Dość często jeździłem do Phenianu, bohaterskiej, walczącej stolicy Korei. Wygląd i życie tego umęczonego miasta były czymś jedynym na świecie. Do Phenianu mieliśmy 250 km. Najniebezpieczniejsze i najsilniej bombardowane były okolice Phenianu i drogi dojazdowe. W okolicznych górach mieścili się wszystkie ważniejsze, ewakuowane z miasta obiekty i instytucje. Samo miasto wyglądało jak ogromne, pustynne pole gruzów i prowizorycznie skleconych ziemianek. Te nory w ziemi, zatłoczone ludźmi, wyglądające jak wielkie obozowisko bezdomnych, nadawały charakter wojennej stolicy.

Dalszy ciąg nastąpi

Na front i z frontu... Wśród płataniny rozlicznych dróg, pomiędzy prowizorycznymi lepiankami pędziły bezustannie samochody wznosząc tumany pyłu



Nory, drażone wprost w ziemi. Tak żyli ludzie w zbombardowanych miastach

W pustynne pole pełne gruzów zamienili piraci powietrzni kwitnący Phenian



Z KIM MAMY PRZYJEMNOŚĆ...

HERR HANS CHRISTOPH SEEBOHM posiada dwie interesujące właściwości: jest ministrem komunikacji w gabinecie Konrada Adenauera i jest niepokornym gadułą. To znaczy — ma zwyczaj wypowiadania głośno w miejscach publicznych tego, co jego koledzy ministerialni mówią szeptem, gdy znajdują się w czterech ścianach swych gabinetów. Złośliwi nazywają pana ministra Seebohma „niedzielnym mówcą”, albowiem większość jego niedyskretnych wypowiedzi przypadała na niedzielę, gdy pan minister wdrapał się na trybunę jakiegoś wiecu lub zjazdu i stąd grzmiał niczym Goebbels. Ale zdarzały się już panu ministrowi wypadki w dni powszednie, o czym mowa będzie za chwilę.

Ostatnie wielkie niedzielne expose ministra Seebohma — o czym pisaliśmy niedawno — zdarzyło się w tegoroczne Zielone Święta. W Monachium zjechali się tego dnia przedstawiciele organizacji odwetowych i rewizjonistycznych Niemców sudeckich. Nastrój był prawdziwie „Heil Hitler” i ze lżą w oku wspomnianą czas, gdy Heinlein maszerował na czele swych szturmowców z Sudetendeutsche Partei i organizował pucze przeciwko Republice Czechosłowackiej, tudzież czas, gdy na zamku hradeckim w Pradze rezydował krwawy zbir Heydrich jako „Reichsprotektor Boehmen und Maehren”. Minister Seebohm od razu poczuł się jak ryba w wodzie i wyłaził na trybunę palną jedną ze swych niedzielnych mów. Tekst jej mamy, albowiem wśród obserwatorów zjazdu znalazł się korespondent szwajcarskiego dziennika „Neue Zuercher Zeitung”, który wiernie zanotował słowa bońskiego dygnitarza.

„Zdaniem Seebohma — brzmiała relacja korespondenta „Neue Zuercher Zeitung” — Czechu, Morawy i Śląsk winny być na zawsze związane z Rzeszą, jak tego pragnął pewien niemiecki cesarz z Bawarii”.

Jak widzicie, Herr Seebohm starał się być ostrożny i zamiast Adolfa Hitlera wymienił tylko pewnego cesarza niemieckiego. Nie zmienił to przecież faktu, że boński minister, członek rządu Adenauera, wystąpił z planem ponownego zagarnięcia Czechosłowacji i przeobrażenia jej w „Protektorat Boehmen und Maehren”, na kształt tego, co nastąpiło po 15 marca 1939 roku. Nic dziwnego, że o twarde rzucenie hasła hitlerowskiego „Zurueck zum Reich” przez oficjalną osobistość

z Bonn zaniepokoiło kolegów Herr Seebohma. W okresie, gdy akcje armii europejskiej spadają tak gwałtownie i gdy opinia Europy coraz lepiej zdaje sobie sprawę, jakim celem służyłoby odbudowanie hitlerowskiego Wehrmachtu w Niemczech zachodnich — tego rodzaju publiczna wypowiedź bońskiego ministra musiała być uznana za wysoce niezręczną. Co innego, gdy takie plany snują ministrowie Herr Adenauera w czterech ścianach swych gabinetów i sal konferencyjnych, a co innego znowu, gdy je trąbią z trybuny na masowym zgromadzeniu. A tu, jak na złość, wśród słuchaczy znalazł się korespondent szwajcarskiego dziennika, który nie o-mieszkiał roznieść mowy Herr Seebohma po całym świecie.

Toteż w bońskich kołach rządowych przez dni kilka panował katzenjammer i ponoć Herr Seebohm usłyszał kilka gorzkich słów od swych gabinetowych kolegów na temat umiejawności trzymania języka za zębami i nieujawniania przedwcześnie zamierzeń politycznych swoich i swoich przyjaciół. Herr Seebohm bardzo sobie to wziął do serca i postanowił... rozprawić się ze szwajcarskim korespondentem. I oto nastąpiła druga wyśpa krewkiego dygnitarza. Właśnie pan Adenauer wystąpił był z żądaniem przywrócenia „pełnej suwerenności” republice federalnej. Hasło w zasadzie słuszne i nikt nie może mieć nic przeciwko temu, by naród niemiecki korzystał z praw całkowitej suwerenności. Suwerenność taką uzyskała już Niemiecka Republika Demokratyczna i wszyscy zwolennicy pokoju i zjednoczenia Niemiec na płaszczyźnie demokracji, życzą narodowi niemieckiemu, by jak najprędzej doczekał się prawdziwej suwerenności na całym obszarze swego kraju. Ale o jaką suwerenność chodził panu Adenauerowi?

Dzięki ministrowi Seebohmowi mogliśmy znowu zerknąć za kulis politycznych planów bońskich polityków. Herr Seebohm bowiem postanowił porachować się z korespondentem „Neue Zuercher Zeitung”. I w przystępie złośliwego humoru pan minister zadzwonił do szwajcarskiego dziennikarza. Zdumiony korespondent usłyszał:

„Gdybyśmy byli państwem suwerennym — dostałby pan za swoje!”

Innymi słowy, gdyby Niemcy zachodnie były suwerenne — to pan Seebohm dałby szwajcarskiemu korespondentowi odpowiednią nauczkę. Jaką? Mogłby go o tym pol-



Minister Seebohm na tle mapy, na której polskie Ziemię Zachodnie oznaczone są jako terytoria niemieckie

formować niektórzy dziennikarze, mający za sobą doświadczenia rozmaitych obozów koncentracyjnych. Oto więc Herr Adenauerowska odmiana suwerenności — na wewnątrz knebel dla prasy. A na zewnątrz cele niedzielnych przemówień Herr Seebohma: Czechy, Morawy i Śląsk — „zurueck zum Reich”. O Alzacji i Lotaryngii pan Seebohm mówił już w tym samym duchu podczas swej poprzedniej kadencji. Słowem — znowu „Grossdeutschland”, „Lebensraum” i „Drang nach Osten und Westen”.

Tyle się dowiedzieliśmy dzięki niedyskretności ministra Seebohma, który lubi publicznie mawiać o rzeczach, jakie jego ministerialni koledzy zazwyczaj szepczą sobie na ucho. W gruncie rzeczy należy się panu ministrowi wdzięczność. Przynajmniej wiadomo, z kim mamy przyjemność.

St. Ar.

ZIELONY POTWÓR

Napisała: EDDA WERFEL



Linia kolejowa, której budowę rozpoczęli związkowcy Gwatemali, uniezależnić miała transport od „United Fruit“



Jeden z wielu zorganizowanych przez rząd prezydenta Arbenza komitetów rolnych w czasie podziału ziemi



Usunięty ostatnio przez zdrajców legalny prezydent Gwatemali, Arbenz, w czasie przemówienia

AMERYKAŃSCY mężowie stanu miewają temperament bardzo niedyplomatyczny. Nie tylko minister John Foster Dulles (w życiu prywatnym akcjonariusz „United Fruit Company“) grzeszy takim temperamentem. 20 czerwca br., na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, jej obecny przewodniczący, delegat USA, Cabot Lodge (nb. też akcjonariusz „United Fruit“) na wystąpienie delegata radzieckiego w obronie Gwatemali zareagował w ten sposób, że wrzasnął, czerwony na twarzy: „Wzywam delegata ZSRR, aby nie mieszał się do spraw tej półkuli!“

Jeśli mr. Lodge pragnął dać do zrozumienia, że „ta“, czyli zachodnia półkula, jest czymś w rodzaju podwórka USA — to trzeba przyznać, że miał poniekąd rację.

40% swych zagranicznych inwestycji ulokował kapitał amerykański w krajach Ameryki Łacińskiej. 10 spośród 12 surowców strategicznych, używanych przez przemysł zbrojeniowy USA, pochodzi z tych właśnie krajów. O stopniu ich zależności od USA świadczą także dwa dowody spośród dziesiątków wybranych przykładów: 95% miedzi wydobytej w Chile znajduje się w rękach amerykańskich; w Brazylii amerykańskie spółki kontrolują 90% produkcji energii elektrycznej.

„ANTYKOLONIALNE“ MOCARSTWO

Prasa nasza cytowała ostatnio jeden z najpiękniejszych dokumentów „wolnego świata“, mianowicie wyznanie generała Smedley D. Butlera z amerykańskiej piechoty morskiej, który chełpił się szczerze i otwarcie:

„Pomogłem zabezpieczyć Meksyk, a szczególnie Tampico, dla amerykańskich najeźdźców w r. 1911.

Przyczyniłem się do tego, że National City Bank mógł bez przeszkód ciągnąć zyski z Haiti i Kuby.

Pomogłem oczyścić Nikaragwę dla międzynarodowego domu bankowego Brown Brothers w latach 1909—1912.

Torowałem drogę amerykańskim cukrownikom w Republice Dominikańskiej w r. 1916.

Pomogłem „uporządkować“ Honduras dla amerykańskich koncernów owocowych w r. 1906“.

A oto krótki rejestr z okresu po drugiej wojnie światowej: USA brały udział w organizowaniu przewrotów w Wenezueli (1945 i 1948), w Ekwadorze (1946), w Boliwii (1946 i 1951), w Kostaryce (1948), Peru (1948), na Kubie (1948), w Kolumbii (1953), w Paragwaju i innych krajach. Ogółem od ogłoszenia doktryny Monroe, tj. od r. 1823, USA prowadziły przeciwko krajom Ameryki Łacińskiej ponad 100 agresywnych wojen, nie licząc tzw. „wewnętrznych“ przewrotów — tak samo wewnętrznych jak obecny „przewrót“ w Gwatemali.

I któż mógłby powiedzieć, że to wszystko ma cokolwiek wspólnego z kolonializmem? Chodzi przecież wyłącznie o „obronę wolnego świata“... Najlepiej świadczy chyba o tym fakt, że w latach 1945—1952

napływ zagranicznych kapitałów do Ameryki Łacińskiej wynosił 2.090 milionów dolarów, zysk zaś i procenty od tych kapitałów osiągnęły w tym samym okresie sumę 5.829 milionów dolarów...

Lud nazywa ją „zielonym potworem“. Dwaj uczeni amerykańscy, Kepner i Soothill, w książce pod tytułem „Imperium bananowe“ pisali: „Potężny ten koncern likwiduje konkurentów, włada rządami, skupia w swych rękach linie kolejowe, niszczy plantatorów, dławie spółki, ciemięży robotników, walczy z zorganizowanym ruchem robotniczym i eksploatuje konsumentów“.

W porcie nowojorskim widziałam kiedyś szereg brudnoszarych, podłużnych, niskich domów. Nad bramami widniały skromne napisy: „United Fruit Company“. Towarzyszący mi dziennikarz powiedział wówczas: „To właściciel Ameryki Łacińskiej“. Nie był to wcale żart.

W r. 1871 pewien amerykański kapitan statku, Lorenzo D. Baker, przywiózł do USA 85 ton bananów z Jamajki. Sprzedawszy owoce z niespodziewanym zyskiem, Baker utworzył do spółki z niejakim Andrews W. Prestonem towarzystwo pod nazwą „Boston Fruit Co“. W r. 1890 spółka, która zaczęła od paru tysięcy dolarów, miała już kapitał w wysokości 531 tys. dol. W tym samym mniej więcej czasie firma braci Keith zawarła z rządem Kostaryki umowę, w której wyniku przejęła koncesję na jedyną wówczas istniejącą tam linię kolejową. W r. 1899 bostońska „Fruit Co“ pokumała się z firmą braci Keith i utworzyła „United Fruit Co“. Na początku XX w. kontrolowała ona już 80% produkcji bananów całej Ameryki Środkowej, setki kilometrów linii kolejowych, posiadała setki tysięcy hektarów ziemi uprawnej. W r. 1925 kapitał jej wyniósł 206 milionów dolarów, a w r. 1938 — jej roczny zysk sięgał 380 mln. dolarów.

Obecnie terenem jej działania są: Gwatemala, Kolumbia, Nikaragua, Meksyk, Salwador, Kostaryka, Honduras, San Domingo, Haiti i inne kraje.

Od czasu swego powstania „United Fruit Company“ wchłonęło 42 inne firmy amerykańskie i 15 zagranicznych.

Nie wszystkie przedsiębiorstwa „United Fruit“ przynoszą dochody bezpośrednio; posiada ona bowiem również w „swoich“ republikach własne więzienia i własną uzbrojoną policję. Policję bardzo sprawną. W czasie strajku robotników plantacji bananowych w Kolumbii, w 1928 r., policja ta zmasakrowała 1500 robotników.

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że „United Fruit“ ma również wielkie wydatki. Sam Castillo



Szereg renegatów gwatemalskich zwerbowanych przez USA miescił się w Hondurasie, w miejscowości Tegucigalpa. Na zdjęciu po lewej widzimy wodza interwentów, którzy wtargnęli do Gwatemali, „pułkownika“ Castillo Armas; na zwerbowanie bandytów otrzymywał on od dłuższego czasu 150.000 dolarów miesięcznie. Po prawej najbliższy jego współpracownicy



Mężczyźni, kobiety i dzieci, zatrudnieni na plantacjach „zielonego potwora“, „właściciela Ameryki Łacińskiej“ —

Armas, który wtargnął teraz do Gwatemali, otrzymywał regularnie 150 tysięcy dolarów miesięcznie na werbowanie bandytów.

VICENTE ZAGRAŻA „WOLNEMU ŚWIATU“

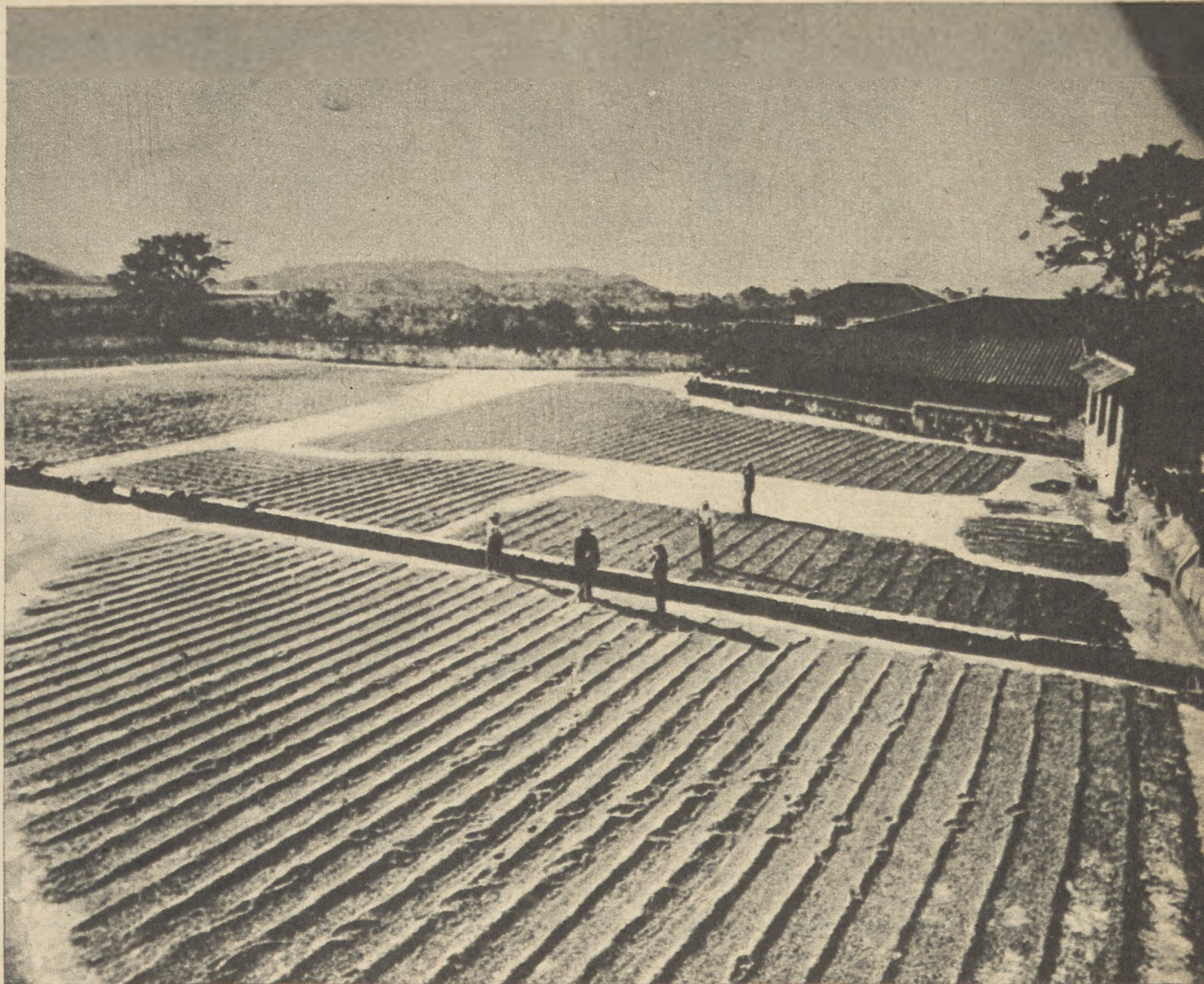
Rigoberto Vicente, urodzony w Concepcion, zarabiał na plantacji bananowej 25 centów dziennie. Nie narzekał na brak obuwia, albowiem ludność Gwatemali chodziła stale boso. Ale za każdym razem, gdy dziecko płakało z głodu, Rigoberto uciekał z domu. Kiedy on i jego rodzina dostali 2 ha ziemi, Rigoberto z początku bał się wziąć, bo ksiądz w kościele zapewniał, że to zbrodnia. Potem Rigoberto, jak tysiące jego indiańskich braci, nauczył się czytać i pisać, nauczył się rozumieć. Do niedawna był sekretarzem komitetu rolnego w Concepcion, dawał ziemię takim jak on sam, zwalczał analfabetyzm, który obejmował 72% ludności w jego kraju.

W grudniu ub. roku odbył się pierwszy zjazd kobiet gwatemalskich. Na trybunę weszła stara chłopka indiańska. Mówiła w swoim narzeczu, nikt jej nie rozumiał. Gdy zauważyła to, wyszła; po chwili wróciła, weszła jeszcze raz na trybunę, uniosła grudkę ziemi, którą trzymała w ręku, i pocałowała ją. Wszyscy ją wówczas zrozumieli. Stara indiańska chłopka, być może, nigdy nie słyszała słowa „komunista“, ale co z tego? Powinna zginąć, bo ta grudka ziemi została uznana za niebezpieczeństwo dla „wolnego świata“ przez samego Johna Foster Dullesa.

Nieopisana jest nędza gwatemalskiego ludu. W swej masie jest on indiańskiego pochodzenia; gdy w Gwatemali biały człowiek był biedny, nazywano go Indianinem, a gdy zdarzył się zamożniejszy Indianin, nazywano go białym. Tak lud przełożył sobie rasową terminologię na własną, klasową.

Na plantacjach „zielonego potwora“ robotnicy pracują od 6 rano do 6 wieczorem, za co dostają osiem razy mniej niż robotnik amerykański. 40 do 50 tys. robotników „United Fruit“ — to dzieci, opłacane znacznie gorzej niż dorośli. 25% wszystkich rodzin — jedna czwarta ludności! — miała dochód roczny poniżej 100 dolarów. Śmiertelność, zwłaszcza śmiertelność dzieci, była niezwykle wysoka. W rejonie Huehuetenango jeden lekarz przypada na 99.436 mieszkańców, w rejonie Quichena na 87.441 mieszkańców, itd.

Dokończenie na str. 22



Na plantacjach „zielonego potwora“ w Gwatemali robotnicy pracują od godziny szóstej rano do szóstej wieczorem...



„United Fruit Company“. Zdjęcie przedstawia fragment rynku w jednym z typowych gwatemalskich miasteczek

PORTRET DYKTATORA

PEWNEGO pięknego czwercowego dnia 1954 roku ulicami Madrytu przejechał otwarty samochód Rolls-Royce, eskortowany przez marokańskich kawalerzystów z obnażonymi szablami. Słychać było powitalne saluty armatnie — to dyktator Franco witał u siebie dyktatora Trujillo, przybyłego z wizytą ze swej Republiki Dominikańskiej. Obaj panowie obdzielili się nawzajem odznaczeniami. Trujillo przypiął „Order Trujillo“ generałowi Franco i oświadczył: „To odznaczenie nie mogło chyba spocząć na bardziej szlachetnej i bohaterskiej piersi“. Caudillo nie został dłużny dekorującą przysługę „Wielką Wstęgą Izabelli Katolickiej“ ze słowami: „Rzadko tylko ten order, który ci daję, był tak dobrze zasłużony...“ Zmęczony tym ceremoniałem, Trujillo odjechał do rokokowego Pałacu de la Moncloa. Doprawdy, ściany tego pałacu, gdzie niegdyś piękna księżna Alba igrała ze słynnym malarzem Goyą — nie widziały jeszcze dotąd takiego typu!

Jest on władcą lub raczej — jak to zaraz wyjaśnię — właścicielem Republiki Dominikańskiej, zajmującej jedną trzecią (ok. 50 tys. km kw.) wyspy Hispaniola. Republikę zamieszkuje z górą 2.100.000 ludzi, którzy przeważnie są analfabetami. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że stamtąd rekrutuje się część uzbrojonych opryszków, którzy napadli na Gwatemalę. Republika Dominikańska jest producentem cukru, którego plantacje należą do wielkiego koncernu amerykańskiego. Amerykanie kupili nie tylko trzcinę cukrową — kupili także i samego tytularnego władcę tego kraju.

VIVA TRUJILLO!

Nie można nie wiedzieć, kto włada tą republiką! Na każdym numerze samochodowym widnieje napis: „Viva Trujillo!“ Dawniej na wszystkich studniach przydrożnych były tabliczki: „Bóg i Trujillo zaopatrują cię w wodę“. Teraz tabliczki pozmieniono na nowe: „Tylko Trujillo daje ci wodę“. Każda szkoła i każdy państwowy budynek noszą z napisem: „Era Trujillo“. Prezydent doktor Rafael Leonidas Trujillo nosi kilkanaście tytułów, z których najbardziej stosowane są „Dobroczyńca Ojczyzny“, „Oswobodziciel Narodu“, „Ten, który Przywrócił Finansową Niezależność“, „Protector Sztuki i Literatury“.

Stolica republiki została w 1496 roku nazwana Santo Domingo, ale dyktator zmienił tę nazwę na Ciudad Trujillo (Miasto Trujillo). Nazwy trzech prowincji zostały zmienione na Trujillo, Dobroczyńca i Oswobodziciel. Łącznie ponad 100 osad tego kraju nosi imię Trujillo lub kogoś z jego rodziny. Ulubiony synek dyktatora, Ramfis, miał 5 lat, kiedy został mianowany pułkownikiem z pensją miesięczną 450 dolarów, a wkrótce później dostał awans na generała.

OBOK KOLUMBA

Dyktator ma obecnie 62 lata. Jego ojciec był koniokrakiem i rozżalona nań policja prowadziła go pewnego dnia w kaj-

dankach przez główną ulicę stolicy. Gdy staruszkowi się zmarło, jego syn, który tymczasem dorwał się do władzy, rozkazał, aby kondukt pogrzebowy szedł dokładnie tą samą trasą, a zwłoki zostały pochowane w starej katedrze, tuż obok prochów Krzysztofa Kolumba. Sam Rafael też miał burzliwą młodość i siedział w więzieniu za oszustwo.

Później kierował bojówkami terrorystycznymi robotników na plantacjach trzcin cukrowej — z rozkazu amerykańskich pracodawców. Prawdziwa kariera zaczęła się dlań jednak dopiero z nadejściem amerykańskiej piechoty morskiej, która okupowała wyspę w latach od 1916 do 1924. Trujillo wyspecjalizował się wtedy w mordowaniu patriotów, prowadzących partyzancką walkę z amerykańskim okupantem. Trujillo nigdy nie zapomniał swych protektorów. Jednym z jego głównych doradców jest b. pułkownik amerykańskiej piechoty morskiej, a nazwę tej formacji nosi również jedna z ulic w Ciudad Trujillo.

Jego rządy doprowadziły do tego, że cukier — główny towar eksportowy republiki — jest tam droższy w detalicznej sprzedaży niż w Nowym Jorku, podobnie zresztą jak i inny produkt miejscowych plantacji — kawa.

GRUNT TO RODZINKA

Wy tłumaczenie tego faktu leży w tym, że cukier należy do Amerykanów, a niemal cały pozostały przemysł republiki — jest monopolem Trujillo i jego rodzinki. On sam przyznał sobie wyłączność na eksploatację kopalń soli — i sól z miejsca podróżowała czterokrotnie. „Dobroczyńca“ ma też monopol tytoniowy i zapalczkany, co doprowadziło do tego, że często widzi się, jak dwaj „campesinos“ (chłopki) kupują jednego papierosa i wypalają go wspólnie. Do „Oswobodziciela“ należą cały handel ryżem, kawą, kakao, mięsem, mlekiem, drzewem, meblami i tuszczami jadalnymi. Jego żona ma monopol na prowadzenie wielkich pralni, a także na dostawę dla rządu stali i żelaza budowlanego. Reszta rodziny podzieliła między siebie koncesje na ubezpieczenia, przedsiębiorstwa transportu morskiego i drogowego oraz handel samochodami. Roczny dochód „Dobroczyńcy“ ocenia się na 5 milionów dolarów, które przezornie lokuje on w bankach i w nieruchomościach w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy temu amerykańskiemu pupilkowi nie zbywa na niczym, naród żyje w straszliwej nędzy. Ludność jest dziesiątkowana przez gruźlicę, żerującą na notorycznym niedożywieniu i anty-sanitarnych warunkach bytu. Szerzy się malaria, a tropikalny pasożyt stóp, przeciw któremu jedynym skutecznym lekarstwem jest... noszenie obuwia, nawleczła rocznie do 300.000 ludzi, czyli jedną siódmą mieszkańców! Ludność dręczą też choroby weneryczne, ale lekarze są tu właściwie bezradni: monopol na zyski ze wszystkich domów rozpusty w całej Republice Dominikańskiej ma brat dyktatora...

LUCJAN WOLANOWSKI





Malarz, którego widzimy w pracowni, z pewnością siedzi już na rusztowaniu malowanej przez niego kamienicy. Plastycy są już na budowie



W Ogrodzie Saskim można spokojnie odpocząć po pracy. Dziś trwała ona nieco dłużej: widziałem chyba pół Lublina pracującego ochotniczo na placu przed Zamkiem



Cóż to za rusztowania? Wszędzie na całym terenie Wystawy Rolniczej widać już dziś gotowe pawilony. W jednym z nich mieścić się będzie poradnia miczurinowska, obok wznosi się pawilon leśny, rolniczy i hodowlany. Przystąpiono już do dekoracji wnętrza. Wystawa bowiem musi być gotowa na czas i musi naprawdę wypaść bardzo efektownie

Zabytkowe podwórza na Starym Mieście w Lublinie należą do najpiękniejszych w Polsce. Nie zapomnijcie dodać, że komitety blokowe zobowiązały się doprowadzić swoje klatki schodowe do wzorowego porządku na 22 lipca



W MIEŚCIE P.K.W.N.

Zdjęcia: EDWARD HARTWIG

„Halo, halo, korespondenci i fotografowie z Lublina! Wszystkie Wasze zdjęcia i korespondencje z odbudowy Starego Miasta dezaktualizują się już w dniu drukowania gazety. Starajcie się utrzymać nasze tempo. Wzywamy do współzawodnictwa tygodnik „Świat” i Wzywamy do współzawodnictwa tygodnik „Świat”.”
Oto komunikat, jaki redakcja nasza otrzymała przed kilkoma dniami z Lublina. Podpis brzmiał: „Zespół zabytkowych kamieniczek na Rynku i ulicy Grodzkiej”.
W momencie, gdy otrzymaliśmy to przynaglenie, stronica ze zdjęciami z odbudowy Lublina do następnego numeru była już przygotowana. Jeszcze tego samego dnia wysłaliśmy do „miasta P.K.W.N.” naszego specjalnego wysłannika, by zdobył dla nas najświeższe dane z postępów w pracy załogi warszawskiej, szczecińskiej, lubelskiej i kaliskiej na tamtejszej „Starówce”. Po kilkunastu godzinach otrzymaliśmy następującą wiadomość: „Niestety nasze zdjęcia też opóźnione stop nikt nie wytrzyma tego tempa stop osiedle ZOR na Podzamczu już stoi — 280 nowych izb mieszkalnych stop zespół tynkarski ZRE wykonał już swoje zobowiązanie, wzniosł na Rynku Bramę Rybną stop prześlizgnie wyrazy uznania stop zdjęcia jednak zamieścić, są pięknym dokumentem historycznym stop podpisy pod zdjęciami muszą jednakże obrazować stan aktualny stop proponuję następujące:



Na prawo widzimy herb wryty przy bramce prowadzącej do starej winiarni na Rynku. W winiarni znajdują się piękne renesansowe freski. Na lewo: rzeźby dorobione do sławnej kamienicy Sobieskich przez rzeźbiarzy i konserwatorów



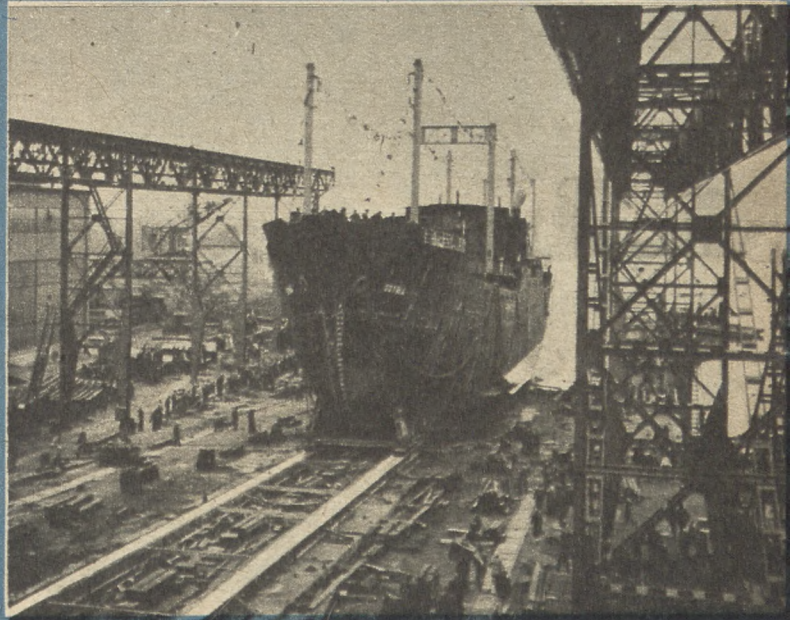
A to jest właśnie starożytna kamienica Sobieskich. Tak wyglądała przed odnowieniem. Na święto Dziesięciolecia Polski Ludowej nasi mistrzowie konserwacji i tynkarze doprowadzą ją znów do dawnej świetności



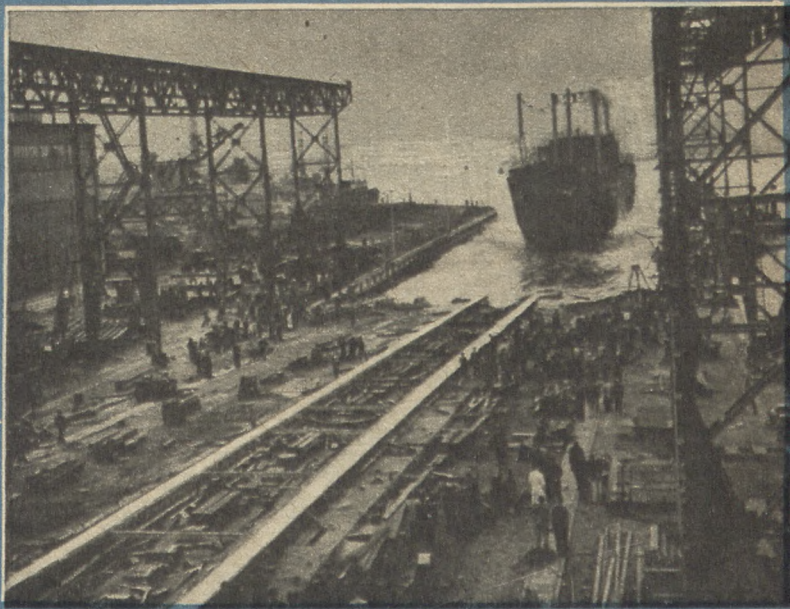
26 czerwca budowniczy statku, Marcinia, zameldował: — „Gdynia” gotowa do wodowania



„W tej samej chwili zwolniono haki powstrzymujące statek



...a wtedy „Gdynia” szybko poczęła się zsuwać po torze pochylni...



...i wzniesając burzę fal po raz pierwszy zanurzyła się w wodzie...

...NADAJĘ CI IMIĘ „GDYNIA”

Tekst: M. AZEMBSKI
Zdjęcia: W. PRAŻUCH

„Ustała nagle kanonada mechanicznych młotów, nitowniczych, przecinaków, zamilkło wycie aparatów spawalniczych. Ludzie z blachowni wylegli na plac. Traserzy porzucili ołówki i krocząc po planach przyszłego statku sunęli ku wyjściu. Na dole, obok pochylni, gromadzi się tłum. Spójrzcie — ten statek po raz pierwszy spróbuje swoich sił!

Bohater dnia stoi dumnie na pochylni, słońce polyskuje na jego burtach jaskrawoczerwonych od moli. Robotnicy czynią ostatnie zabiegi przed wodowaniem: zdejmują rusztowania z kadłuba, tak jak trener ściągają płaszcze z pleców pływaka, który za chwilę ma skoczyć do wody. Na dziobie „solenizanta” odsłonięto białe litery — GDYNIA.

Takie imię nosić będzie piękny „tramp”, dwunasty z serii wyprodukowanych w Stoczni Gdańskiej transportowców o pojemności 3-400 ton. Burtę jego są wysokie na cztery piętra, trzeba dobrze nadziierać głowę, aby ponad tę imponującą ścianą dojrzeć nadbudówki, maszty, windy... Wszystko wykonane w Polsce, na tutejszej stoczni, albo w zakładach ze stocznią współpracujących: w polskich hutach, stolarniach, fabrykach maszyn. Wierzyć się nie chce, że dziesięć lat temu w zdewastowanych halach „Schichau-Werke” gwiżdżał ponuro wiatr, a niejeden przechodzień zadawał sobie pytania: ile czasu potrzeba, aby powołać do życia nie znany u nas przed wojną przemysł stocznio-owy? Czy potrafimy ten przemysł postawić na odpowiednim poziomie?

Stocznio-owcy — robotnicy i inżynierowie — codziennie udzielali na ten temat odpowiedzi. Własną pracą. Od remontów przeszli do samodzielnej budowy 120-tonowych kutrów, od kutrów do rudowęglowców, od rudowęglowców

do pokazywanych już „Lewantów”, od „Lewantów” do serii wspomnianych „trampów”. Stocznia Gdańska jest już dzisiaj płatą w Europie pod względem mocy produkcyjnej, a o jej sprawności mówi fakt, że „Gdynia” budowana była zaledwie 5 miesięcy.

Leżąc przewrócony na boki, bo się hutelka szampana rozlatuje się w kawałki, pienisty plyn oblewa burty. Słyszmy słowa Krystyny Ława, robotnicy z wydziału kadłubów:

— „Nadaję ci imię „GDYNIA”.

Z płos drewnianych, na których spoczywa statek, opadają żelazne haki. „Gdynia” zaczyna sunąć po torze wysmarowanym mydłem i trowelom, nabiera szybkości i wzniesając istną burzę fal — zanurza się w wodzie po raz pierwszy... Chrzest swój otrzymuje w pamiętnej chwili — w Dniu Stocznio-owca, 26 czerwca 1964.

Ludzie wracają powoli na swoje stanowiska, do blachowni, do montażu kadłubów i do traserni, gdzie na podłodze, lśniącej jak w balowej sali, dostrzec można ślady linii, gmatwaninę cyfr i znaków: rysunki elementów nowego statku, niebawem wchodzącego do produkcji. Statek będzie miał 10.202 ton pojemności! To już olbrzym.

I jeśli dziś ktoś powtórzył pytanie sprzed lat: czy potrafimy? — robotnicy dadzą taką mniej więcej odpowiedź:

— Proszę spojrzeć na pochylnię. Stoi tu seria statków takich samych, jak dopiero co wodowana „Gdynia”. Czy zdając sobie sprawę, jaki to krok naprzód od tamtych pierwszych 120-tonowych kutrów? Jeżeli sadanie, które dziś podejmujemy, jest trudne, to tamto było przecież jeszcze trudniejsze...

ANDRÉ CAYATTE

TAK BYŁO NA FILMIE

FILM nosi tytuł „Przed potopem”. Reżyserował go francuski postępowy reżyser André Cayatte. Film o życiu 17-letnich chłopców i dziewcząt w sercu Francji — w Paryżu. Młodzież taką spotkać można jednak wszędzie, w każdym francuskim mieście. Jest ona produktem ustroju, w którym najbardziej zaprzątają umysły ludzkie: nędza, bomba atomowa i brudna wojna w Indochinach.

Głównymi postaciami w filmie są: Philippe, którego ojciec zbożcił się na wojnie, Richard, syn kolaboracjonisty wojennego i fanatycznego antysemitę, Jean, którego matka boleje fałszywie nad poziomem moralnym młodzieży, nie widząc, iż jest on wynikiem burżuazyjnego wychowania, w końcu Daniel, młody Żyd utrzymujący się z pieniędzy, przysłanych mu przez wujka z Ameryki, oraz Liliana, córka politycznego kombinatora.

Cała ta grupa młodzieży, zniechęcona do otaczającej ją rzeczywistości, marzy o ucieczce do jakiegoś wyidealizowanego świata, gdzie panowałyby niepodzielnie pokój, przyjaźń i prawo. Jacht rodziców Philippe'a sto-



To bohaterzy filmu. Młodzież nie widząca przed sobą celów życia, pozbawiona wszelkich hamulców moralnych, nie znająca pojęcia etyki. Główna wytyczna — to „catch-as-catch-can” — wszystkie chwytły dozwolone...



Tak było na filmie... Jacht ojca Philippe'a jest gotów, kochanek matki ma natomiast pieniądze. Trzeba mu je odebrać. W czasie napadu zjawia się strażnik nocny. Pada strzał. Jeden z napastników traci życie. Kto za to wszystko odpowiada?

pogotowiu; kochanek jego matki ma pieniądze. Chłopcy postanawiają mu je odebrać. W czasie dokonywania napadu nadchodzi strażnik nocny. Strzał. Zabójstwo. Jeden z niedoszłych uczestników wyprawy do „lepszego świata” pada ofiarą. „Idealny świat” staje się nieosiągalny. Zamiast niego — ukazują się mury więzienia.

Taki w skrócie jest film. Przedstawia on nagie fakty bez stawiania „kropki nad i”. Lecz intencja reżysera jest jasna: wszystkiemu winni są rodzice, dorośli, którzy tak wpływają na umysły dzieci, winien jest panujący we Francji porządek i zrodzona przezeń atmosfera.

Wyprodukowanie filmu było łatwiejsze, niż wprowadzenie go na ekrany Francji. Cenzura odrzucała go dwukrotnie. Dwukrotnie zmieniał Cayatte swój scenariusz oraz fragmenty filmu. W końcu na komisji cenzury dziesięcioma głosami przeciwko dziewięciu film przeszedł. Gdy wszedł w końcu na ekrany Paryża — zawrzało w burżuazyjno-mieszczańskim świecie. — Kłamstwo! — wołali „tatusie”-rentierzy po obejrzeniu filmu. — To nie nasze dzieci! — krzyczały „cnotliwe” paryskie mamusie z „dobrych domów”. Pomimo tych okrzyków i protestów — film był jednak i dobry, i prawdziwy. Najlepszy dowód, iż w tak poważnej konkurencji, jaką jest Festiwal Międzynarodowy w Cannes, film „Przed potopem” uzyskał nagrodę. O tym zaś, że film jest prawdziwy, najlepiej świadczą kroniki policyjne Paryża i wielu innych miast francuskich...

POKAZAŁ PRAWDĘ

Opracował: JAN GRUŻEWSKI

TAK BYŁO W RZECZYWISTOŚCI

PARĘ DNI przed ukazaniem się w kinoteatrach paryskich filmu „Przed potopem“, po Łasku Bułońskim przechadzali się późnym wieczorem dwaj policjanci Bouquet i Sardou. W jednej z zacisznych alei zobaczyli zaparkowany czarny wóz. Paryski policjant, znany ze swej dyskrecji, nie zagląda wieczorem do samochodu — szczególnie w Łasku Bułońskim, miejscu spotkań zakochanych par. Gdy jednak policjanci mijali samochód, księżyc wyłonił się zza drzew i oświetlił auto. Za kierownicą siedział młody mężczyzna, głowa jego zwisała bezwładnie — nie dawał znaku życia.

Okazało się, iż był to trup młodego człowieka zastrzelonego z pistoletu, który leżał obok na śledzeniu samochodu. Zabity miał około 18 lat; nie posiadał żadnych dokumentów — znaleziono przy nim jednak notes, gdzie między innymi znajdował się adres pewnej młodej dziewczyny imieniem Violette. Sprawę wziął w swe ręce komisarz policji kryminalnej Fernet. Ustalił on wkrótce, iż zabity nazywał się Eric Malan. Wspomniana Violette była jego ukochaną. Ojciec tej ostatniej był właścicielem kina na Champs Elisees. Poprzez nią trafiono do przyjaciół Erica, kilku 18-letnich młodych chłopców, z których każdy, jak się okazało, otrzymywał więcej pieniędzy od rodziców, niżby mu to wychodziło na dobre. Po krótkim śledztwie komisarz odesłał wszystkich do domu, zapowiadając ewentualne dalsze śledztwo. Sprawa tymczasem nie wyjaśniona; zabójstwo? samobójstwo?...

W parę godzin później posterunkowy Louis Dumas zauważył młodego człowieka nadchodzącego od strony Tuillerii. Wszedł on na jeden z mostów Sekwany i nagłym ruchem przeskoczył barierę. Dumas zorganizował pomoc. Niedoszły samobójca stał przed tymże komisarzem Fernet, który ze zdumieniem rozpoznaje w nim jednego z przyjaciół zabitego Erica Malana. Młody człowiek, noszący imię Gilbert, załamuje się i zaczyna mówić. Mówi blisko dwie godziny — nie tylko o sobie, ale i o swych kolegach, którzy przed chwilą opuścili gabinet komisarza. Opowiada, iż każdy z nich ma garsonierę, własne konto bankowe, własny samochódzik. Zaden z nich jednak nie jest w stanie w razie potrzeby zasięgnąć rady rodziców czy zwyczajnie z nimi porozmawiać na dręczące niekiedy tematy. Nikt z domowników nie pyta o ich kłopoty. Ojcowie zajęci są interesami, podróżami i... swymi przyjaciółkami. Matki są zwykle albo w klubie, albo u fryzjera, albo... w cudzym mieszkaniu. Młodzież więc, pozostawiona sama sobie, ciągnie do klubu egzystencjalistów, do piwnic Saint Germain des Pres. Tam „kształtuje się“, ściślej: wypacza — ich światopogląd.

Świat jest zły i zepsuty — to wie każdy z nich. Jak ma wyglądać jednak nowy — nikt im nie tłumaczy. I oto w ten sposób powstają istne bandy, kierujące się własnymi prawami i przykazaniami. Któregoś dnia trafiła do takiej młodzieży broń, dostarczona z mętnych źródeł. Rezultaty nie dają na siebie długo czekać. Eric Malan nie żyje. Zabójstwo czy samobójstwo? Nikt tego nie wie. Gilbert, który opowiedział o swych niejasnych domysłach, prosi komisarza: „Ochrońcie mnie. Jak oni się dowiedzą, że mówiłem na policji — skończą mnie!“

Na Boulevard des Italiens — jednej z najpiękniejszych ulic Paryża — ma swój kantor wymiany i sklep jubilerski monsieur Alexandre Silberstein. Przed właścicielem sklepu stoi młody człowiek w wieku około 25 lat, z rękami w kieszeniach. Wygląda na zdenerwowanego. Chce kupić kilka gramów złota. Gdy monsieur Silberstein odwraca się, by wyjąć kasetkę spod lady, młody człowiek wyciąga rewolwer z kieszeni i wali jubilera kolbą w głowę. Jubiler osuwa się na ziemię, przy uderzeniu jednak pada strzał i kula rozbija szybę wystawową. Młody człowiek ucieka. Przechodnie próbują go zatrzymać, wzywają policję. Jest to czwartek, godzina 6 wieczór — czas największego natężenia ruchu ulicznego. Uciekający wpada w bramę, za nim wbiega policjant Bardelot wzywając przestępcę do zatrzymania się. W tym momencie strzał — śmiertelnie ranny policjant pada na bruk. Zabójca przeskakuje przez leżące ciało i biegnie co tchu do stacji podziemnego metra, tam dopada go policja.

Sprawa trafia znowu do komisarza Fernet. Okazuje się, iż młodociany przestępca ma lat 24 i nazywa się Jacques Fesch. Jest synem dyrektora banku, ma żonę i 4-letnią córeczkę. Obracał się od dłuższego już czasu w kołach egzystencjalistów. Niczego się jeszcze nie uczył, ponieważ sądził, iż nauka nie jest mu potrzebna przy jego pozycji społecznej. Gra w tenisa, jeździ na nartach, poza tym uwodzi dziewczyny; pracować nie potrzebuje — przecież ojciec ma pieniądze. Rodzice nie żałują synkowi na nic. Jest świetnym tancerzem, ma w swoim zbiorze prawie wszystkie amerykańskie płyty jazzowe, płaci za każdą whisky wypitą przez swych przyjaciół-egzystencjalistów. Jest więc „wielkim Jacques“, „bogatym Jacques“, który ma bez liku przyjaciół. Nie wystarcza mu to jednak. W fantazji młodego człowieka rodzi się wspaniały plan: wraz z przyjacielem Jacques Robbe, synem znanego paryskiego architekta, zamierza wyruszyć jachtem na Tahiti.

Obaj młodzi ludzie znajdują odpowiedni stateczek w porcie La Rochelle. Kosztuje on „bagatelkę“ — trzy miliony franków. Jacques Fesch daje zadatek, resztę obiecuje wpłacić za parę dni. Tatuś da przecież pieniądze. Spotka go jednak smutne rozczarowanie: ojciec ma dosyć tego rodzaju pomysłów i uciną nagle wszelkie datki pieniężne. Matka i teść też odmawiają „pożyczki“. Bogaty Jacques staje się nagle biednym i od razu traci wszystkich wczoraj jeszcze „przyjaciół“. Nie! A jednak musi pojechać. Przecież podróż na Tahiti, to taki świetny pomysł! Jacques Fesch staje przed jubilerem Silbersteinem i wyciąga rewolwer.

To wszystko zdarzyło się naprawdę. — I to nie po ukazaniu się filmu „Przed potopem“, ale parę dni przed nim. Jacques Fesch nie wiedział nic o jachcie, w którym piątka z filmu udać się miała w krainę marzeń. Eric Malan nie wiedział nic o chłopcu imieniem Richard, choć ich losy tak były podobne. Reżyser André Cayatte pokazał prawdę.



To nie bohater filmowy. To Jacques Fesch po schwytaniu przez policję na stacji metra „Opera“.



Jedno jest pewne: to była jego ukochana, Violette, uczennica, mieszkanka szkolnego internatu.



Tak było w życiu. Na zdjęciu — Eric Malan. Co wypełniało jego myśli? Co doprowadziło do przedwczesnej śmierci? Został zamordowany czy popełnił samobójstwo? Zagadka pozostaje bez rozwiązania.

POJEDŹ TAM W CZASIE URLOPU



Ruiny zamku Chojnasty



Fragment zamku w Będzinie



Renesansowy zamek w Krasiczynie k/Przemyśla



W pięknym parku oliwskim



Mur otaczający dawny plac turniejowy na zamku brodnickim

Jeśli los skieruje Cię na wczasy na Dolny Śląsk, czeka Cię wiele pięknych wycieczek, wiele interesujących miejsc do zwiedzenia.

W połowie drogi między Jelenią Górą a Szklarską Porębą zobaczysz możes ruiny zamku, zwanego Chojnasty lub Kynast z połowy XIII wieku, otoczone lasem, z pięknym widokiem na pasmo Gór Olbrzymich.

Z. Jarkiewicz, Warszawa

Z tego samego okresu pochodził dobrze zachowany zamek w Będzinie, którego fragment, z basztą i potężnymi murami widać na zdjęciu. Po przeprowadzonej obecnie rekonstrukcji i konserwacji, w zamku tym mieścić się będzie Muzeum Historyczne Ziemi Śląskiej.

T. Rzepkiewicz

Nie zapomnijmy także wstąpić do Przemyśla — jednego z najstarszych i najpiękniejszych miast w Polsce. W swych długich, bo blisko 1000-letnich dziejach, Przemyśl przechodził różne koleje — okresy rozkwitu i upadku.

W ciągu setek lat, aż do początku XX wieku był właściwie twierdzą. Długosz pisze, że już w XI w. był to „gród potężny, ufortyfikowany wałami i murami obronnymi, o wielkiej liczbie ludności...”. Przez miasto to wiodły kiedyś ważne szlaki handlowe ze wschodu na zachód i od przełęczy karpaccich na północ. Kupcy rzymscy przewozili wtedy bursztyn z Bałtyku.

M. Rajski, Jarosław

Któż ze spędzających lato na Wybrzeżu, nie zna Oliwy, tej wspaniałej katedry, parku, ogrodu botanicznego i pięknego alpinarium. Zwiedzający ogród w Oliwie chętnie zatrzymują się również nad stawem, by przyjrzeć się pływającym łabedziom. Rządzące jednak zdarza się uchwycić moment taki, jak na zdjęciu, gdy ptaki zmęczone pływaniem, a może i licznymi odwiedzinami — usypiają na brzegu.

A. Wysocki, Kwidzyn

Brodnica nad Drwecą w woj. bydgoskim, o której w „Krzyżakach” wspomina Sienkiewicz, jest jednym z najbogatszych w zabytki miast polskich. Na każdej niemal ulicy spotkać można jakąś pamiątkę z naszej przeszłości historycznej. Między wielu innymi zachowała się tu wieża zamku zbudowanego przez Krzyżaków w latach 1305—1330, piękny kościół z tegoż okresu, mury okalające plac turniejowy, na którym ongiś zręcznością i walecznością popisywali się rycerze. Są też resztki murów obwodowych, tuż przy dziedzińcu pałacowym Anny Wazówny, które — niestety — z roku na rok niszczeją i coraz bardziej się szczybią. Brodnica bowiem jest tym przykrym wyjątkiem wśród naszych miast, w którym się zapomina o zabytkach i nie dba się o ich konserwację.

J. Jarkiewicz, Brodnica

DOBRE GOSPODARUJE SPÓŁDZIELNIA W NEBROWIE



Przewodniczący Jarosz troskliwie opiekuje się „młodzieżą”

Z ORGANIZACJI... „BARDZO DOBRZE”

Ciekawą imprezę urządził Zarząd Wojewódzki TPPR w Nawojowej (pow. Nowy Sącz). Udana ta impreza, nazwana „Ogniskiem przyjaźni” — przyciągnęła kilka tysięcy widzów z różnych zakątków powiatu.

Organizatorzy „Ogniska” przygotowali masę niespo-



dzianek. Oklaskiwano zwycięzców w błyskawicznym Konkursie Czytelniczym, słuchano śpiewu chóru Sanatorium Wojskowego i Technikum z Marcinkowic, podziwiano taniec zespołu amatorskiego z Nowego Sącza. Mieczysław Urbański — jak np. Stanisław Urbański ze szkoły podst. w N. Sączu — opowiedział o swych trudnościach i osiągnięciach. Uczeń Technikum Kolejowego z N. Sącza — Zbigniew Mąka — mówił o tym, jak książki radzieckie pomagają w pracy i nauce, a uczennica szkoły podstawowej w Wieliczce, A. Kowalska, opowiedziała o ogólnopolskim konkursie rysunków dla dzieci na temat przyjaźni polsko - radzieckiej.

Imprezy odbywały się pod gołym niebem, a że świeciło wspaniałe czerwcowe słońce, łądy i napoje chłodzące cieszyły się dużym powodzeniem.

Wieczorem rozpalono ogromne „ognisko przyjaźni” i w ten sposób zakończono tę ciekawą imprezę.

Jerzy Dąbrowski, N. Sącz

A SZKODA...

Rozplakatowane na mieście afisze zapowiadały na dzień 28 czerwca br. zawody pływackie na Małym Jeziorze. Z radością powitali żnińskie inicjatywy PTTK, mimo upałów nikt bowiem dotychczas nie pomyślał o zorganizowaniu sportu wodnego, choć Żnin ma po temu dobre warunki.

Pogoda była śliczna. Pub-



Ani jednego kajaka, ani jednej łodzi — smutnym wzrokiem spoglądają młodzi ludzie na piękne jezioro

NIE IZBA PORODOWA — ALE SZPITAL

W numerze 16 „Świata” na kolumnie „Fotokorespondenci donoszą” ukazała się notatka pt. „2 tys. pacjentów w ciągu 4 lat”.

Z listu, który w tej sprawie nadesłał dr L. Estreicher, dyrektor szpitala rejonowego w Radkowie Kłodzkim, wynika, że wiadomość ta była co najmniej niedokładna i nieścisła.

Oto, co pisze dr Estreicher: Radków nie jest wsią, lecz miastem i to dosyć starym, gdyż historia jego powstania sięga XI lub XII wieku. W Radkowie nie ma izby porodowej, o której pisze korespondent, jest natomiast szpital rejonowy z oddziałem położniczym.

Z tej zasadniczej pomyłki autora informacji wynikają dalsze. A więc szpital wraz z oddziałem położniczym istnieje nie od czterech, a od 8 lat i liczy 46 łóżek, a nie 48, jak podał korespondent (oddział położniczy — tylko 6). Zdjęcie zamieszczone przy notatce przedstawia chore po operacji, a nie po porodzie, a Zofia

Milkosz nie figuruje w ogóle w księdze chorych. „Jedyną prawdziwą informacją w notatce — pisze dr Estreicher — jest brak skarg ze strony pacjentów obojga płci”.

W toku wyjaśnienia interwencji dr Estreichera redakcja ustaliła, iż notatka została napisana wyłącznie na podstawie informacji udzielonych naszemu fotokorespondentowi przez urzędnika PRN w Kłodzku. Autor notatki, Zb. Lenartowicz, nie był w Radkowie, szpitala nie widział, a urzędnik PRN, jak widać, mało orientuje się w terenie.

Sprostowanie, które tu zamieszczamy, wyprowadzi z błędów naszych Czytelników i będzie ostrzeżeniem dla fotokorespondentów. Materiał redakcyjny należy bowiem zbierać z wielką sumiennością i dokładnością na podstawie własnych obserwacji i spotrzeżeń i uzupełniać wyjaśnieniami i informacjami właściwych instancji, tak aby mieć pewność, że wiadomość jest prawdziwa. Red.

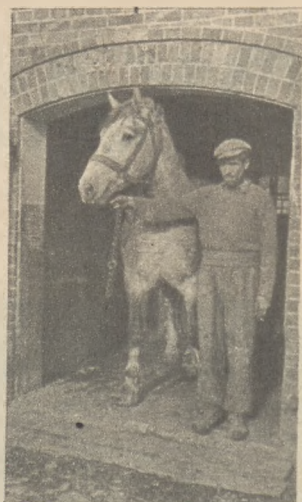
Jedną z najstarszych spółdzielni produkcyjnych w powiecie kwidzyńskim jest Nebrow Mały. W ciągu kilku lat swego istnienia spółdzielnia uzyskała piękne rezultaty swej gospodarki, zwłaszcza w dziedzinie hodowli, w której od r. 1952 zaczęli specjalizować się nebrowiczanie.

Spółdzielnia w Nebrowie Małym osiągnęła swe zwycięstwa przede wszystkim stosowaniu radzieckich metod hodowli, z którymi wielu jej członków miało okazję zapoznać się bliżej w czasie wycieczki do ZSRR.

Obecnie do Nebrowa przyjeżdżają wycieczki chłopów z innych okolic kraju dla zapoznania się z nowoczesnymi metodami tak upraw jak i hodowli.

Spółdzielcy w Nebrowie w I kwartale br. poważnie przekroczyli plan dostaw tuczu i mleka.

A. Wysocki, Kwidzyn
Fot. Fajarek



W Nebrowie wyhodowano już 25 pięknych koni

MILY NIEDŹWIEDŹ, ALE MILSZY KONCERT

Orkiestra zdrojowa w Polanicy gra wiązankę pieśni ludowych, potem utwory Chopina, Moniuszki, Czajkowskiego... Na żądanie słuchaczy wykonuje jeszcze kilka utworów. Kilkaś rąk gorąco oklaskuje każdy numer programu. Muzyka umila czas kuracjuszom.

Szkoda tylko, że w polanickim zdroju tak mało docenia się jej znaczenie. Koncerty, o których wspomnie-

liśmy, dostępne są tylko dla trzystu osób, odbywają się bowiem i latem w sali koncertowej o ograniczonej ilości miejsc.

Pozostałych ok. 2 tysiące kuracjuszy i wczasowiczów skazanych jest na nudy pafkowe i podziwianie „niedźwiedzia” waleśającego się z leikarzem. Tymczasem musiała koncertowa w parku pozostaje niewykorzystana.

L. Makowski, Polanica



„Niedźwiedź” waleśa się po parku

SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO

Równoległe z postępem budowy obiektów przemysłowych Huty im. Lenina, jak i miasta Nowa Huta, postępuje budowa urządzeń socjalnych, a m. in. żłobków, z doskonałą opieką lekarską i pielęgniarską, pięknie urządzonej jasnymi salami i wieloma zabawkami.

W żłobkach nowohucian-skich mogą już znaleźć dobrą opiekę w czasie pracy matek wszyscy potrzebujący jej najmłodsi mieszkańcy pierwszego socjalistycznego miasta w Polsce.

Fr. Waleczak, Kraków



FOTOGRAFIA NA CODZIEN KRAJOBRAZ

Jednym z najbardziej urzekających nas latem tematów jest krajobraz. Pociąga on nas często barwami, których potem zresztą nie widzimy na zdjęciu, oddającym tylko światło i płaszczyznę. Pamiętać więc musimy o tym przy kompozycji obrazu, przy wyborze oświetlenia i staraniach o właściwy przekład kolorów na fotograficzny język czarno-biały.

Ogromną rolę w krajobrazie odgrywa niebo i pogoda. W dzień pochmurny krajobraz jest płaski i martwy — dopiero słońce, zwłaszcza rano i po południu, rzucając skośne promienie — nadaje mu życie i plastyczność. Pogodne, rozświetlone niebo bez chmur jest jednak również niezbyt pożądane — stanowi ono zazwyczaj pokaźną część naszego obrazu i tworzy białą, płaską płaszczyznę. A dni piękne, słonecznej pogody i fotogenicznych chmur, których efekt podkreślamy użyciem filtru — mamy niewiele.

W wypadkach bezchmurnego, błękitnego nieba, gdy żaden filtr nie wyłowi najmniejszej chmurki, musimy sфотографować krajobraz z punktu dość wysoko wzniesionego, aby linia horyzontu była na zdjęciu wysoko, nie ukazując wcale nieba, lub tylko jego skrawek. Możemy sobie też poradzić przez zapełnienie płaszczyzny nieba koroną drzewa znajdującego się na pierwszym planie. Przeciwnie, jeśli zależy nam na podkreśleniu motywu pięknych chmur, fotografujemy trzymając aparat nisko nad ziemią; wówczas niebo zajmie większą część obrazu.



N

A TAKICH wiekowych melomanów, jak mój rozmówca z owego wieczoru, patrzy się już nie jak na ludzi, ale jak na szacowne instrumenty. Wydaje się, że gdyby posłuchać rytmu ich serca, to okazałoby się, że bije w zadumanej tonacji cis-moll.

Stary człowiek był zbiornicą wspomnień muzycznych z pół wieku. Uczestniczył przy narodzinach wielkiego baletu rosyjskiego, przyjaźniąc się z Diagilewem. Znał blisko Debussy'ego, Ravela, kolegował z Szymanowskim. Przez kilka dziesiątków lat nie było wybitnego zjawiska muzycznego w Europie, któremu by nie asystował, śledząc pilnie repertuar międzynarodowych imprez muzycznych i kupując natychmiast odpowiedni bilet kolejowy.

Tego dnia zresztą nastroj mego towarzysza został wyraźnie zmodyfikowany do As-dur: tonacji burzliwej i wojowniczej.

— Przed wiekiem — perorował — kultura muzyczna w Europie stała o niebo wyżej niż dzisiaj!

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Bo muzyka była o wiele trudniej dostępna. To brzmi paradoksalnie, lecz — jak dużo paradoksów — jest prawdą. Na dobry koncert trzeba było czekać tygodniami, potem zdobywać przebojem bilety, a zapowiedzianej dąty melomani wypatrywali z tym samym nabożnym skupieniem, z jakim łakomczuchy wyczekują obżarstwa Wielkiejjocy. Po czym był znów post kompletny. Mój ojciec jak oka w głowie strzegł pewnej sumki pieniędzy odłożonej tylko po to, by mógł spod Aleksandrowa — gdzie mieszkał — każdej chwili popędzić do Warszawy, jeśli grana tam była V Symfonia Beethovena, gdyż należał do fanatycznych wielbicieli tego mistrza.

Stary pan, uśmiechnięty, rozsmakował się we wspomnieniach:

— Trudność kontaktu z muzyką rodziła atmosferę uroczystości kontaktu. Na koncert czy do opery każdy ubierał się jak mógł najstaranniej. Co subtelniejsze kobiety przemyślały długo nad sukniemi, które kolorem dostosowane byłyby do programu. Nie bez racji! W niczym nie słuchało się tak dobrze Bacha, jak w ciemnej, nasyczonej czerwieni właściwej burgundzkiej

muzyka

W SOSIE POMIDOROWYM

JERZY WALDORFF

winom. Schumann natomiast wymagał już raczej fioletoów i różowości, przytykanych gdzieś tam aksamićną czercią. Żeby mieć muzykę w domu, trzeba było uprawiać ją samemu. Co bardziej muzyczne rodziny dzieliły się studiami. Z góry postanawiano, że ta córka przez kilka lat będzie się uczyła gry na skrzypcach, a tamten syn na wiolonczeli, by mogli z czasem — wraz z rodzicami — grywać kwartety Haydna lub Mozarta. Wynikały stąd dramaty rodzinne! Ojciec pozbawiał syna spadku za to, że truł mu życie niechlujnym rzepoleniem na altówce.

Tu miłe wspomnienia staruszka zostały zmącone teraźniejszością. I znów jego łagodna tonacja cis-moll przeszła w burzliwą As-dur.

— Potem — ciągnął zmarszczony — przyszły płyty i wreszcie radio. Nie pamiętam już, kto nazwał płyty gramofonowe: konserwami z muzyką. Coś jak pudełka muzycznych skumbrii w pomidorach. Kupuje się je do kilku złotych, niesie się w kieszeni do mieszkanka, dokonuje małego zabiegu technicznego i toto gra. Piątą Symfonię można mieć na zawołanie.

* * *

Kiedy rozstałem się z siwym panem, wróciłem do domu i wyzwoiliem spod uroku rozmowy, doszedłem oczywiście do wniosku, że czcigodny meloman nie miał racji. Na tej samej zasadzie, na jakiej nie mają racji wszyscy zrzędcy staruszkowie. Gdyby ją mieli, to „dobre czasy“ w dziejach ludzkich nigdy nie należałyby do teraźniejszości, a zawsze byłyby tylko wspomnieniem. Mój rozmówca zapomniał także i o tym, że dawna, wysoka kultura muzyczna była udziałem jedynie

ludzi bogatych. Musiało się mieć pieniądze, a dopiero wtedy można było pozwolić sobie na zamilowania artystyczne. Niemniej jednak w skargach starca tkwiła ukryta część prawdy: groźnej i ostrzegawczej.

Niedawno z placówki w USA wrócił pewien nasz dyplomata. Opowiadał, że telewizja położyła tam niemal całkowicie ruch koncertowy i teatralny. Wieczorami ulice Nowego Jorku i innych wielkich miast Ameryki pustoszeją, bo wszyscy siedzą po domach przed telewizyjnymi ekranami. Prywatni właściciele nadawczych stacji telewizyjnych dostarczają odbiorcom sztukę w najtańszych oknach. Fragmenty widowisk teatralnych i symfonii przepłatane są sprawozdaniem z meczów bokserskich i — przede wszystkim — telewizyjnymi sprawozdaniem z sal sądowych, gdzie rozpatrywane są wyrafinowane morderstwa. A całość programu tonie w reklamie. Śmierci Julii z wielkiego dramatu Szekspira towarzyszy wezwanie do telewizji odbiorczy: „Używając szminek z firmy X, też będziecie podobały się nawet w trumnie!“

Mówiąc naszym językiem, można by stwierdzić, że sztuka Stanów Zjednoczonych poszła w ilość. Może mieć ją każdy — loco dom. Ale nie przeszła w jakość, bo tym nikt się nie interesuje. Jedynie ważna jest ilość, gdyż ona stanowi mnożnik, gwarantujący dochody. A poziom? — W USA panują „demokratyczne“ swobody, więc każdy ma prawo ogłupiać siebie i bliźnich do woli...

Równocześnie z tymi wiadomościami zza oceanu, do rąk moich doszło zdjęcie z Paryża, które mną wstrząsnęło

(spójrzcie obok). Oto pewien tamtejszy wynalazca skonstruował orkiestrę grających maszyn-robotów, chwilowo dopiero taneczną. Cóż za straszna wizja przyszłości! Orkiestra taneczna rozwija się w symfoniczną. Na estradzie gra 120 robotów, dyryguje też robot. Żeby zaś nie trudzić doszczętnie rozlewnionych ludzi, sala jest także wypełniona robotami, zastępującymi żywych słuchaczy. Tylko muzyka pozostała ta sama: namiętne dźwięki V Symfonii Beethovena, które przyspieszały bicie wielu pokoleń serc ludzkich, teraz przyspieszają częstotliwość drgań lampek elektrycznych, ukrytych w zwojach drutów, pod żelaznymi pancierzami.

* * *

Takie perspektywy daje mechanizacja muzyki na Zachodzie i tu mój siwołosy rozmówca miałby aż nadto wiele powodów rozgoryczenia. Że u nas jest odmiennie, wystarczy jeden cytat statystyczny: podczas gdy ilość radio-słuchaczy wzrosła w stosunku do okresu przedwojennego dwukrotnie, to ilość bywalców oper i filharmonii wzrosła przeszło sześciokrotnie. „Przeszło“, gdyż trudno ująć w cyfry tych wszystkich, którzy odchodzą od kas bez biletów i z tego powodu piekłą się potem w prasie.

Nasze radio stało się cennym propagatorem kultury muzycznej. Dzięki niemu wielkie formy muzyczne docierają do tak zapadłych środowisk, do jakich — niesione nie przez głośniki, lecz przez objazdowe orkiestry — mogłyby dotrzeć nie wcześniej niż za lat kilka.

Niemniej jednak i u nas są potworne mieszkania, gdzie gałkę odbiornika przekręca się równo z kranem do ranego mycia, po czym kran się szybko (nieraz o wiele za szybko!) przykręca, a radio działa bez chwili przerwy, aż do późnego wieczora. W tych koszmarnych wypadkach potrzeba artystyczna zmieniła się w potrzebę fizjologiczną: jakiegoś tam brzęczenia, bez rozoznania jego treści.

Radio to nie koncert! Przy głośnikach można się w piśmie, można dłużyć w nosie, moczyc nogi, kłócić się z żoną. Francuzi mają określenie „amicochon“, co dosłownie znaczy „przyjaciel-świnia“: ktoś, kto nadmiernie spoufałił się z nami. Obawiam się, iż w nazbyt wielu domach muzyka z głośnika stała się u nas „amicochonem“ wielu najmniej przystojnych funkcji dnia.

Znam również ludzi, którzy chodzą tylko na konkursy muzyczne. U nich kultura muzyczna jest przybudówką zamilowań sportowych: kto będzie grał prędzej? Ile dostanie za to punktów?...

* * *

Wieczorna rozmowa ze starym melomanem naprowadziła mnie na takie wnioski:

Nie wolno nie doceniać wartości mechanizacji muzyki. Rola radia czy płyty gramofonowych jest ogromna w dziedzinie popularyzacji muzyki w naszym kraju. Ale na skali radiodbiornika symfonie sąsiadują z fokstrotami, kwartety z orkiestrami strażackimi, głosy wielkich śpiewaków z porykiwaniami tandetnych rewelersów. Mały skręt gałki i już jest kilka najbrutalniej kontrastujących zmian do wyboru. To nie kształci zmysłu selekcji, to demoralizuje niewyrobionego odbiorcę. Tu więc muszą mu przyjść z pomocą instytucje i organizacje, zajmujące się artystycznym wychowaniem społeczeństwa.

Aby umuzykalnianie naszego kraju przechodziło stale i prawidłowo z ilości w jakość, musimy zwrócić najbaczniejszą uwagę na — k u l t u r ę o d b i o r u m u z y k i.

Muzyce, jeśli ma zostać wielką sztuką, musimy przywrócić o d s w i ę t n o ś ć. Słuchajmy jej tylko wówczas, gdy przygotowani jesteśmy na doznawanie wielkich wzruszeń. Szanujmy ją tak właśnie, jak szanujemy własne wzruszenia. Równanie jest bardzo proste: z chwilą, gdy zwulgaryzujemy muzykę, zwulgaryzujemy samych siebie.



CICHA WIEŚ

na brzegu twszczym

Rys.: ADAM PERZYK

ERWIN milczał. Słońce wyszło spoza trzcin, suszyło im odzież ciężką od wody rozłożoną na burtach, napełniło ciepłem powietrze. Daleko, daleko w głębinach puszczy drwale ścinał drzewo mechaniczną piłą, dolatywał tu jej cichy pisk i odgłos walących się sosen czy dębów. Erwin wszystkimi myślami i całym napięciem nerwów zatęsknił do tego, żeby teraz być na słonecznej porębie, czuć zapach spoconych drzew, aromatyczną woń kropel złotych jak miód, występujących na świeżo spiłowanych pieńkach, widzieć kosmate nozdrza saren wychodzących na żer, pracować w pocie czoła, być traktorzystą, rybakiem, wszystkim jedno kim, choćby kamieniem tuc, ale pracować jak uczciwy człowiek, a bać się tylko Boga i własnej żony...

Tak marzył Erwin i powstawał w nim coraz ostrzejszy bunt przeciw Helmutowi. Milczał, nie odgadując, jak dużo wypowiada milczeniem. Helmut znowu zaczął swoje ciche gadanie:

— Która to może być godzina, jak myślisz? Koło siódmej? Później chyba... Specjalnie chciałem zwabić sołtysa pod złamany most, bo stąd łatwo wiać. Albo jeziorem, albo w puszcze i koniec. Tu nie ma bagien. Twardy grunt.

Erwin milczał. Helmut udawał obojętność, ale próbował przejrzeć kompana.

Zmrużył powieki i szeptem ziewając raz za razem:

— Sołtys miał tu być o piątej. Tak się z nim wczoraj młynarz umówił. I nic. Nie widać sołtysa. Szkoda. Będziesz musiał przyjechać specjalnie. A tak byłoby ci łatwiej. Trzeba go zlikwidować jak najprędzej. Od razu. To pierwszy twój obowiązek, pamiętaj. Więc jak to? Brat jedyne we wsi zaprzysiężonego hitlerowca, z formacji SS, takiego hitlerowca, co by rodzonemu ojcu nie przepuścił, gdyby ten, dajmy na to, Żyda przechował; poszedłby, ojca by oskarżył: a jego brat jest sołtysem? I to jakim? Żeby sobie był, a nam po cichu służył — a, proszę bardzo. Tymczasem ten dureń co? Gołąbków mu się zachciało, gołąbków pokoju, wygłupia się; wieś wychowuje, do Bieruta listy pisze, żeby Mazurom pomagał. Dam ja ci gołąbki maczane w twojej własnej krwi.

Helmut zazgrzytał. Erwin wsparł dłoń na wioślach ułożonych w poprzek łodzi, po czym spokojnie powiedział:

— Ja miałbym zabić, ja? Obcego człowieka, co mi nic nie winien? Za co?

Helmut zachichotał piskliwie.

— Ha, ha... możesz nie rozumieć dlaczego zabijasz. Wykończysz sołtysa... i więcej nic. Wykonasz rozkaz organizacji.

Erwin dopiero w tej chwili zauważył, że głowa kumpla ma kształt szczurzej głowy. Szczur, zwyczajny szczur, nie żaden wódz! Odepchnął od siebie wiosła, wstał, oczyma zatoczył po wodzie cichej i łagodnej, po lesie nadbrzeżnym, skąd nadlatywały odgłosy ludzkich wysiłków, i krzyknął z całych sił:

— Ja mam gdzieś twoje rozkazy! Nikogo nie będę zabijał! Rozumiesz?

Akustyka jezior, wspanialsza niż akustyka studiów radiowych, poniosła ten okrzyk, powiększyła go jakimś ogromnym rezonansem, przekazywała ludziom w puszczy. Helmut skulił się, skoczył naprzód. Erwinowi błysnęła jedyna myśl, że to był skok atakującego szczura. Zdołał w porę umknąć na ląd, Helmut za nim. Stał się na wprost siebie.

— Ty milcz. Dlaczegoś krzyczał, co? — dyszał Helmut. — Szczęście, że tu pustka. Co tobie, mózg na deszczu nasiąkł?

— Nic ci do mojego mózgu. Pilnuj lepiej swojego. Ty, ty...

Poczerwieniał. Helmut zmienił taktykę.

— Słuchaj, Erwin. Usiądźmy. Pogadajmy.

Erwin wsparł się plecami o pień, ramiona podobne do cepów zwiesił przed sobą, milczał. Helmut przysukał kieszenie.

— Cholera, nie mam zapalek — powiedział.

Uśmiechnął się szczurzym rozchyleniem ust pokazując drobne, przedzielone szparami zęby. Oczy pozostały czujne jak u zwierzęcia gotowego za chwilę atakować.

— Więc o co chodzi? — zagadnął przysiadając na spróchniałym priu. — Ty się brzydzisz, co? Ze niby własnymi rękami. To, masz rację, owszem. Zgadza się. Ale wiesz, to tylko ten raz. Wyjątkowo. Na ogół... o ile się interesowałeś, to powinienes wiedzieć... na ogół staramy się to wykonać inaczej...

Erwin odpowiedział tylko:

— Aha.

Wlepił oczy w Helmuta i patrzył bez wyrazu. Las po nocnym deszczu nasiąknięty był jeszcze wilgocią. Ciemnozielony jałowiec lśnił kroplami wiszącymi u wszystkich kolek. Zmyta nawałnicą gleba zachowała prątkowania płynącej wody, zastygła z powlepianymi nałotami kory drzewnej i igliwia... Pachniało. Po czubach drzew poszedł szum, wiatr targał konarami strąsając kropel. Helmut opacznie zrozumiał spokój Erwina.

— Powinno być inaczej — mówił — techniką, rozumem, sposobem to wszystko załatwić. Już tak się próbowało. Wojnę sobie przypomnij.

świadków. Rozumiesz? Obroncy pokoju mogą nam nakiwać.

Erwin pochylił się do przodu. Ciężko dyszał.

— Całymi wagonami! Ze też ludzie mogli coś takiego wymyślić!

Helmut aż podskoczył.

— Prawda? My jeszcze pokażemy, co umiemy. Pa-lić, niszczyć, likwidować! I co nam kto udowodni? — dłonią dotknął zielonej kitki na czubku jałowca, wiotkiej i jasnej, wyrosłej pewno tej wiosny — Na zewnątrz będzie sobie dym. Nicht wahr?

Erwin dygotał. Zaczął rozumieć, czego pragnie, brakowało mu tylko słów.

— To, tego... jakbyś drugi raz oskarżył naszą dawną nauczycielkę, Marię Kotarbę, nie mogłaby już chyba wyjść?

— Skąd masz pewność, że ja ją wpakowałem, co?

— Myślałem, że to ludzkie gadanie. Teraz widzę, że mogło i to być.



Erwin raz jeszcze wprowadził niechcący Helmuta w błąd.

— Wiem, Dachau. Majdanek. Ravensbrück.

Teraz Helmut ożywił się, wstał.

— O, oo! Widzisz? No tak. Tylko że tamte metody jeszcze się musi doskonalić. Ulepszać. Powiem ci — na znak poufności zniżył głos — teraz się coś niecoś opracowuje. Gadałem z fachmanami. W Aachen. Supertechnika, powiadam ci. Sprawa prosta. Genialnie prosta. Posłuchaj.

Helmut cofnął się pod krzak jałowca, wsparł się oń plecami, aż posypało się na ziemię mnóstwo kropel.

— Posłuchaj. Uważaj. Otwiera się brama krematorium — Helmut uchylił zieloną gałąź jałowca kreśląc równocześnie stopą linię na wilgotnej ziemi — no i pociąg z więziami jedzie od razu do środka po szynach prowadzących w głąb. Ani spostrzeżę, co jest. Brama się zamyka. Można później z nimi zrobić wszystko, co chcesz. Od razu gaz, tak jak są w wagonach. Albo selekcja, wybór. Albo diabli wiedzą, co jeszcze. Bez

— A ty co? Tobie się to może nie podoba? Mów. Nie podoba się? Ha?!

Erwin patrzył w bok, tam, gdzie przez majowy gąszcz puszczy widniało jezioro. Było gładkie i ciche. Nur wytknął czarną głowę podobną z dala do zwykłego patyka, trwał tak przez parę sekund i zniknął. Na powierzchni zarysowała się srebrna linia, znacząc podwodną drogę nura. Po chwili ptak wychylił się znowu i znowu zniknął. Erwin powiedział nie zmieniając pozycji:

— Nie podoba.

Helmut się uśmiechnął szerokim rozciągnięciem ust nie przypominającym uśmiechu i mówił z wesołym parszaniem:

— To ci wolno. U nas, widzisz, panuje zupełna tolerancja. Zupełny liberalizm. Wolno ci myśleć, co chcesz. Rasista gardzi bydlęm. Dla rasisty zabić konia czy zabić kogoś niższej rasy, to całkiem jednakowa rzecz. Dojdiesz do tego. Masz jeszcze za mało praktyki. No cóż? A tymczasem będziesz robił, co ci każemy. Boś

się z nami związał. Brałeś udział w napadach, w podpaleniach. W zamordowaniu Pakuły też ręce maczałeś... Myśleć możesz, co chcesz. Odejść? Odejść nie możesz.

Erwin wsłuchiwał się w ciszę puszczy. Traktor pykał gdzieś znacznie dalej, ledwie dawało się łowić uchem znikomy dygot motoru. Przestały tu dochodzić odgłosy piły mechanicznej i łomot walących się na ziemię drzew. Pewno tracze odjechali na drugą stronę pasma jezior. Kukały kukułki. Jedna tak blisko, że może dałoby się ją wypatrzyć; druga zachrypła jakos, z jej gardła dobywał się głos przerywany charczeniem i zamiast melodyjnego „ku-ku, ku-ku”, słychać było śmieszne „ko-kchu, ko-kchu”.

— To ty byś chciał tak... całymi wagonami... do gazu... na lekką śmierć. Aha. Tak. A potem, jakbyś już dosyć wytepił, to miałbyś chęć te wielkie morgi odebrać, co je twój ojciec dawniej trzymał. To niedaleko stąd, pod Olsztynem zdaje się, tak? Ale jednej rzeczy nie jestem pewny. Czy mój stary, wiesz, on mimo pięćdziesiątki zupełnie krzepki chłop, więc czy mógłby u ciebie jaką pracę dostać. I ja, Helmut. I ja też. Ożałbym twoje pole, krowy bym pasł, a może byś mnie rzadca zrobił, dałbyś bat, żebym nad ludźmi stał, żebym ojca nahałem przez łeb dzielił.

Helmut pochylił głowę jak do skoku.

— Co ty gadasz? Co ty? Co ty?

Erwin łokciami wsparł się o pień sosny, wciągnął nosem powietrze, aż świsnęło.

— To ja ci powiem. Nic nie mam wspólnego z zamordowaniem Pakuły. Nie było mnie tu. Do Warszawy jeździłem — jeżeli chcesz wiedzieć. A z tobą też nie wspólnego nie chcę mieć. Obwoziłem cię. Dobrze. Powiem, niech mnie za to osądzą. Wolę zdechnąć, jeżeli zasłużył, wolę w więzieniu zgnieć; ale nie będę zbrodniarzem. Chciałem uciec dziś w nocy, jak żeś się w Rosochach zagadał. Ale musiałem ci to powiedzieć.

Erwin spostrzegł, że prawa dłoń Zaka zniknęła w kieszeni; zrozumiął. Padł na ziemię. Dosięgnął nóg Helmuta, poderwał je. Sypnęły się strzały. Erwin oburącz chwycił dłoń Helmuta trzymającą rewolwer, wtedy poczuł ostry ból. Ciosem lewej ręki Helmut wbił mu nóż w ramię. Drugie uderzenie pod szyję. Skłębili się walcząc. Erwin osłabł, krótko, gwałtownie łapał oddech.

Zielony jałowiec osłonił walczących, osłoniła ich gęstwa leszczyn i pierzastych paproci.

...Leśniczy szedł kołysząc się z nogi na nogę, jakby ktoś toczył pękaty antałek. Szedł i myślał, po co tu właściwie idzie. Nie był przekonany. Chudy pracownik Milicji Obywatelskiej, ten sam, co wczoraj sprowadził na przesłuchanie starą nauczycielkę, ciągnął go dziś pod rozbitą most; nie mógł się uspokoić usłyszawszy, że samotny namówiony przez młynarza popłynął tam właśnie.

— Coś w tym jest.

— A bogać ta! Ty zawsze coś wymyślisz! Wczoraj się sam wygłupiłeś, a dzisiaj mnie w las ciągniesz.

Gestem irytacji szarpnął pas od strzelby na ramieniu i toczył się dalej. Chudy raz jeszcze próbował tłumaczyć.

— Mówię wam, coś w tym jest. Kapitan radził uważać.

Szli szeroką leśną przecinką wilgotną po nocnym deszczu. Leśniczy pogwizdywał cichutko lekceważąc chudego, który powtarzał:

— Coś w tym musi być!

— Bzdury! Zawracanie głowy. Żaden ptaszek nie będzie gadał na Polskę Ludową, jak ma sumienie nieczyste. Coś ty...

Chudy podrapał się po nieogolonej brodzie i powiedział:

— Chyba, że mu się wypało...

— E, tam. Idę na zwykły obchód lasu. Nic mnie twój rozwalony most nie obchodzi. Chcesz, to sobie łaz.

W miarę wzrastającej irytacji ruch wahadłowy pękatej postaci leśniczego był coraz głębszy. Dopiero seria strzałów i krótki krzyk człowieka poderwały go.

— Kto tu do diabła poluje?

Chudy już biegł odpowiadając:

— Poluje? Z rewolwerem?

Wypadli na dróżkę, pędzili roztrzaskując gałęzie buków osypanych gęstwą zielonawych kwiatów, przepychając się między kłującymi konarami świerków i wyszarpując się zaczepnym ożogom dębowym. Spłoszyli krągłego prosiaka przegawanego białą-czarnymi pasami, gnającego w gąszcz przy głośnym łamaniu gałęzi. Ten mały dzik przestraszył leśniczego. A nuż maciora wybiegnie lada chwila na drogę. Mógł się ktoś przed nią bronić strzałami z rewolweru... Rozjuszona maciora... Leśniczy już nieraz podobną bestię spotkał... kiedyś nawet wypadło mu na drzewo zmykać, i to kłami but rozharatała.

Porażony tą myślą podwoił pracę swoich krótkich nóg, leciał za chudym podobny do baryłki toczącej się z góry siłą własnego rozpędu. Biegli oczekując dalszych odgłosów, ale ścisło już echo wystrzałów, znów tylko drzewa szumiały. Wyskoczyli na polanę. Pusto. Zatrzymali się. Spojrzeli po sobie. Trzy kroki naprzód, za ścianą młodych leszczyn rozwalony most. Na moście człowiek. Widać jego plecy. Trzyma się prętu żelaznego wystającego z rozbitej bariery. Pochylił się. Patrzy w dół. Potem nagle staje z przybyłymi twarzą w twarz. Oni wołają: „Ręce do góry”. Celują doń widząc krew rozmazaną tak obficie na białym płaszczu, na rękach i czole, że trudno poznać w pierwszej chwili, czy włosy też skrwawione, czy po prostu ryże.

Bokończenie na str. 23

SWIAT

o tym wie!

SZKOŁA ZBRODNI

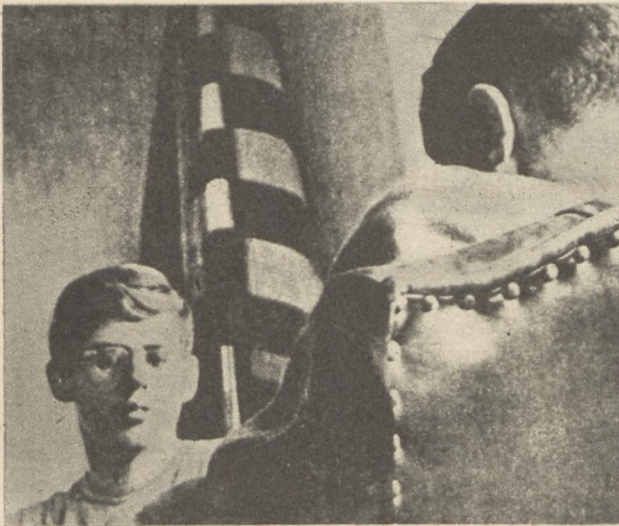
W Detroit (USA) piętnastoletni Terrance DeMoss zamordował w okrutny sposób czteroletnią dziewczynkę, Marion Zobrovitz. Po dokonaniu zbrodni wrócił do domu, zjadł obiad i udał się z rodzicami do kina na... kryminalny film. Wypadek ten, bynajmniej w Ameryce nie odosobniony, skłonił wybitnego psychiatrę amerykańskiego, dra Frederica Werthama z Lecznicy Lafargue w Nowym Jorku, do napisania listu do redakcji tygodnika „Newsweek”, w którym czytamy:

„Piętnaście lat temu morderstwo takie, popełnione przez nieletniego

chłopca, było czymś zupełnie wyjątkowym. Dziś jest zjawiskiem powszechnym. Rodzice nie zdają sobie może z tego sprawy, ale żadne dziecko nie jest już bezpieczne. Czemu dzieci zmieniły się tak bardzo?

Oczywiście, że istnieją rozmaite przyczyny. Ale jedną z najważniejszych jest fakt, że wydajemy obecnie więcej pieniędzy na uczenie dzieci przestępczości, gwałtu i sadyzmu, aniżeli na wszystkie razem wzięte podręczniki szkolne w szkołach niższych i średnich.

Wszystkie szczegóły tej zbrodni (tu następuje dokładny opis zamordowa-



15-letni morderca przed sędzią śledczym.

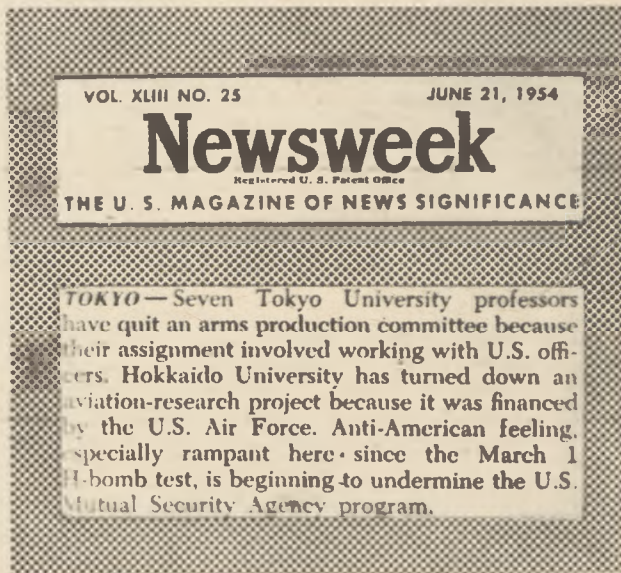
nia nieletniej ofiary — przyp. red.) są podawane w milionach egzemplarzy comic books”.

Comics — owe małe, kolorowe książeczki, wypełnione ohydny obrazkami, opiewające zbrodnie — oto prawdziwy

morderca. Morderca bezkarny, bo koncerny wydawnicze USA, specjalizujące się w tych publikacjach, ciągną z tego procederu miliardowe zyski i mają dostateczne wpływy, by zapewnić sobie swobodę działania.

W JAPONII TEŻ...

Tygodnik amerykański „Newsweek” w numerze z dnia 21 czerwca przynosi poniższą depeszę z Tokio:



„Siedmiu profesorów Uniwersytetu w Tokio ustąpiło z komisji produkcji broni, ponieważ narażeni byli na współpracę z amerykańskimi urzędnikami. Uniwersytet Hokkaido odrzucił propozycję przeprowadzenia badań z zakresu lotnictwa, ponieważ miały być one finansowane przez lotnictwo wojskowe USA. Nastroje antyamerykańskie, szczególnie gwałtowne po próbie bomby wodorowej dokonanej w dniu 1 marca, zaczynają podrywać program prac, związanych z amerykańską ustawą o wzajemnym bezpieczeństwie”.

Dla wyjaśnienia dodajmy, że jest to ta sama ustawa, która przeznaczała sto milionów dolarów na robotę szpiegowsko-dywersyjną w krajach obozu po-

koju. Jak widać, w Japonii mają ich już też dosyć.

OSKARŻAM! — SPRZED LAT 40

Wiersz i rysunki, które reprodukuje, mają długą historię. Są dziełem dziennikarza amerykańskiego, nazwiskiem John T. McCutcheon, i powstały w roku 1916. Autor — naówczas korespondent wojenny prasy amerykańskiej — był świadkiem inwazji niemieckiej na Belgię w r. 1914 i okropności najeźdu na Francję. Przedtem jeszcze był korespondentem wojennym podczas wojny burskiej w Afryce południowej i obserwował podbój Filipin przez wojska amerykańskie. Pod wpływem swych doświadczeń wojennych zaczął demaskować tych, którzy ciągną milionowe zyski z wielkich rzezi. Tak powstały rysunki i wiersz McCutcheona w roku 1916.

Minęło lat 40 i mało kto pamięta dziś o McCutcheonie. Ale przed paru tygodniami, gdy w Waszyngtonie coraz głośniej mówiło się o nowej wyprawie zbrojnej, tym razem na Indochiny — pewien dziennikarz chicagowski sięgnął do starych roczników i wygrzebał znowu rysunki i wiersz zapomnianego korespondenta wojennego. Okazało się, że są równie, a może bardziej aktualne niż przed czterema dziesięcioleciami. „Chicago Sunday Tribune” — pismo bardzo pra-

wicowe — opublikowało w n-rze z dn. 6 czerwca 1954 r. na pierwszej kolumnie utwór McCutcheona ponownie. Komentarz redakcyjny brzmi: „Przedrukujemy rysunki i wiersz — ponie-

waż ich nauka jest potrzebna i dziś. Ci, którzy mówią, że cyna i kauczuk z południowo-wschodniej Azji są nam tak potrzebne, iż warto za nie zapłacić wojną w Indochinach, choćby nas miała kosztować

najwyższą cenę — niechaj przestudiują te rysunki. Około 25.000 młodych Amerykanów zginęło w Korei — Bóg wie po co. Ile istnień ludzkich warta jest tania puszka cynowa?”

CÓRKA FABRYKANTA BRONI

Napisał John T. McCutcheon, rok 1916

Spójrzcie na nią: siedzi rozbawiona, przystrojona po koniuszki palców. Jej policzki taniec zaróżowił, spójrzcie jak się uśmiecha!

Jej naszyjnik kosztuje tysiąc oczu. Jej pierścionek — sto ludzkich istnień. Kolczyk ma cenę miliona łez, które żony poległych przelały.

Jej pantofle kupiono z dywidend za pociski armatnie. Jej suknie kupiono i zapłacono wśród piekielnych męczarni.

By ona mogła błyszczeć — tysiąc ślepców będzie błądziło w nocy nieskończonej. Nigdy nie mogąc spojrzeć w jej pogodnie jaśniejące oczy.

Ich żrenice nigdy już nie ujrzą wspaniałości dnia. Oni muszą przechodzić po drogach ponurych, ażeby jej droga była wesółą i beztrudną.

A ona wie, skąd jej brylanty się biorą, zna ich cenę tragiczną. Wie, że dla każdego klejnotu zabito kilku ludzi.

A jednak siedzi rozbawiona, pozbawiona uczucia wstydu. Ona i jej siostry uliczne są takie same.





Jeszcze się nigdy dotąd nie wstydziła za Warszawę. Dopiero teraz pierwszy raz. I to jaki wstyd!

Zaraz Wam powiem, moi drodzy, o co chodzi, chociaż przypuszczam, że niejeden z Was był świadkiem takiej „miej” scenki. Otóż to. Widzimy, słyszmy, oburzamy się nawet i... idziemy spokojnie dalej. A sądzę, że musimy wrócić do wspólnego froht przeciwko wszystkim, którzy Stolicę i jej dobre imię kompromitują.

Przystanek trolejbusu na rogu Młodoj i Krakowskiego Przedmieścia. Na przystanku tłoczona grupa chłopców i dziewcząt, ubranych z wiejska. Łatwo rozpoznać, że to wycieczka z prowincji. Są zgrzani, zmęczeni upałem, ale zdzierają głowy do góry i patrzą, patrzą, patrzą. Oto spełniły się wreszcie ich marzenia o Warszawie. Obraz stolicy chcą teraz utrwalić w pamięci, zamknąć głęboko w sercu, bo kto wie, jak prędko ją znów zobaczą. Są więc przejęci, wzruszeni, rozgorączkowani, ci nasi mali goście z odległych wsi i miasteczek.

A my? Jak ich witamy?

— Płacić za bilety — woła konduktorka trolejbusu „53” (działo się dnia 14 czerwca w wozie nr 65, rejestracyjny — P. 75397, odjeżdżającym z Dw. Gdańskiego o godz. 8 rano).

Cisza.

— Płacić mówię, do jasnej cholery!

Dzieci patrzą na siebie w zdenerwowaniu, wreszcie odzywa się jeden z chłopców:

— My jesteśmy wycieczka, proszę pani. Nasz grupowy zaraz zapłaci, pewno jest jeszcze z tyłu, bo wszedł ostatni.

— Nic mnie to nie obchodzi. Płacić, albo wysadzić!

Konsternacja. Grupowy przeciska się wreszcie na przód, wyciąga zaświadczenie i prosi o 38 biletów ulgowych.

— Żadnych ulg. Tu nie ma o ulgach. Płacić po 60 gr. albo wysadzić!

Zrobiła jeszcze potem awanturę pasażerka, która ujęła się za wycieczkę, a wreszcie odmówiła pokazania swego numeru. Ale to już inna sprawa.

Nie rozpiszywałam się o tym przykrym wydarzeniu, gdyby było... smutnym wyjątkiem. Pewnego dnia, gdy jadąc tramwajem w kierunku MDM obserwowałam młodych wycieczkowiczów, głośno podziwiających wspaniałe gmachy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, usłyszałam dyszant jakiejś damy, która dąrzyła się na cały tramwaj:

— Nie rozumiem po co „toto” się pcha do Warszawy. Wycieczek im się zachciewa. Tłok tylko z tego i hałas nie do wytrzymania. Stolica im do szczęścia potrzebna. Też!

„Toto” patrzyło zdumionymi oczyma na warszawską jeźnię i myślało zapewne: „Młodoj piękne, bo piękne, ale ludzie...”

Możecie więc sobie wyobrazić, jak było przyjemnie Syrence, gdy, jadąc z Żoliborza „116”, była świadkiem następującej scenki. Przy jakimś gwałtownym skręcie chłopiec z jadącej autobusem wycieczki stracił równowagę i niechcąc uderzył łokciem siedzącą obok pasażerkę. Zarumieniony powyżej uszu zaczął ją gorąco przeproszać.

— Proszę bardzo — odpowiedziała z serdecznym uśmiechem. — Nic nie szkodzi, każdemu może się zdarzyć. No, jak wam się tu podoba?

„Potrafimy być uprzejmi” — pomyślała z radością Syrenka, skłonna przypuszczać, że tamto istotnie należało do wyjątków. Jakież było jej zdumienie, gdy, pochylając się ku stojącej obok koleżance, chłopiec powiedział:

— Ta pani to na pewno nie warszawianka.

Otóż właśnie. W Warszawie, mieście słynnym z gościnności, mieszkają ludzie, których uprzejmość zbyt jest znana, by trzeba ją było wychwalać. Osobnicy w rodzaju opisanej na wstępie konduktorki, chociaż są okazami na wymarcie, mocno psują opinię ogółowi warszawiaków. O ile bowiem uprzejmość skłonił jestemmy uważać za rzecz normalną i jej objawy wypadają nam szybko z pamięci, o tyle arogancja pozostawia po sobie bolesne i długotrwałe ślady. Wniosek stąd prosty. Tępnym bezlitośnie wszelkie objawy arogancji, nie pozostawiajmy obojętni, gdy ktoś obok nas łamie dobre obyczaje warszawskie zapominając o uprzejmości, grzeczności i gościnności.



ZIELONY POTWÓR

Dokończono ze str. 11

Jest to kraj piękny i bogaty. Ale ziemia jest przedmiotem rabunkowej gospodarki — uprawia się tylko to, co oplaca się zielonemu potworowi — banany, kawę, cukier; zboże sprowadza się z zagranicy, „zielony potwór” załatwia import i transport. W całym kraju o 3-milionowej ludności tylko 30 tys. ludzi pracuje w przemyśle, który posiadałby możliwość wspaniałego rozwoju, gdyby go nie dławili amerykańskie monopole.

Rząd Arbenza — to rząd (właściwie trzeba już pisać: to b y i rząd) burżuazyjno-demokratyczny. Partia Pracy miała zaledwie kilka miejsc w parlamencie. Arbenz został wybrany w r. 1950 ogromną, wynoszącą 2/3 większością głosów, w wyborach powszechnych, wolnych, demokratycznych.

Jakże skromne wydają się nam reformy przeprowadzone przez rząd Arbenza! Postanowił wybudować własny port, elektrownię, przeprowadzić 1.000 km dróg. 17 czerwca 1952 r. przyjęto ustawę o reformie rolnej, która miała objąć wszystkie grunty leżące odległością, wypuszczane w dzierżawę, należące do państwa oraz posiadłości powyżej 100 ha. Byli właściciele otrzymali odszkodowanie.

Rigoberto Vicente dał swemu dziecku chleb i kupił sobie buty. Tego już było za wiele. John Foster Dulles oświadczył, że Gwatemala zagraża bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych...

Od r. 1941, tj. od kiedy naród gwatemalski pozbył się dyktatury Ubico, agenta amerykańskiego, USA zorganizowały 30 spisków w Gwatemali.

W 1949 r. ambasador USA Patterson zorganizował „pucz 13 lipca”. Dowody jego brudnej roboty były tak jawne, że musiał opuścić Gwatemalę. W marcu r. 1953 ówczesny doradca sekretarza stanu do spraw Ameryki Łacińskiej, Bradden, wygłosił przemówienie, w którym wzywał rząd USA do otwartej interwencji w Gwatemali; Bradden zajmował się nie tylko polityką, był również szefem reklamy „United Fruit Company”. Uczestnikiem następnego buntu przeciw rządowi Arbenza był niejaki Juan Cordoba Serna, adwokat, oczywiście, „United

Fruit Company”. Podsekretarzem stanu do spraw Ameryki Łacińskiej jest obecnie mr. John Cabot — brat prezesa „United Fruit Company”. Wykaz akcjonariuszy „United Fruit Company” i jej udziałowców w innej formie, to coś w rodzaju amerykańskiego herbarza; cała plutokracja finansowo-polityczna USA z takimi nazwiskami, jak Coolidge, Carnegie i Dulles, figuruje w tym herbarzu — i we wszystkich spiskach organizowanych przeciw Gwatemali.

TRZYDZIESTY PIERWSZY SPISEK

„New York Herald Tribune” pisała 14 czerwca, na cztery dni przed inwazją: „Spokojnie i taktownie nasz Departament Stanu wysondował opinię innych narodów amerykańskich, co należy robić z komunistycznym rządem Gwatemali...” Spokojnie i taktownie! Broń płynęła tymczasem do Hondurasu i Nikaragui z USA. Castillo Armas, w przyjaznym porozumieniu ze swymi amerykańskimi przyjaciółmi, przygotowywał się do ataku.

W czerwcu przewodniczącym Rady Bezpieczeństwa ONZ był Lodge. „Młotek przewodniczący Rady Bezpieczeństwa i karabin maszynowy ostrzeliwujące Gwatemalę były dobrze zsynchronizowane” — oświadczył przedstawiciel poselstwa Gwatemali w USA, gdy „większość” Rady Bezpieczeństwa pod naciskiem Lodge’a odmówiła rozpatrzenia sprawy Gwatemali.

Gdy piszę te słowa, kończy się jeden z etapów walki ludu Gwatemali. Prezydent Arbenz zmuszony został do rezygnacji, Partia Pracy jest rozwiązana, pierwszy zdrajca Diaz, który, być może, chciał jakoś manewrować, został zmieniony przez drugiego zdrajcę, Monzona, który już całkowicie dogaduje się z Armasem. Stany Zjednoczone, najpotężniejsze mocarstwo kapitalistyczne, pokonały w końcu małą, biedną, bosą Gwatemalę, która przez dwa lata próbowała urządzić sobie ludzkie życie.

Paryski „Combat” pisał: „Amerykanie widzą, że kolonializm gospodarczy przynosi również zmartwienie. W Gwatemali, Wietnamie i Maroku banany i coca-cola nie wystarczą już, by zaspokoić narody”. Dodajmy — nie wystarczą też karabiny maszynowe i bomby. Bunt przeciw krzywdzie i wola wolności jest silniejsza od bomb i za wcześnie mr. John Foster Dulles zaciera ręce z zadowolenia, że uratował „wolny świat” i parę milionów dolarów dla „United Fruit”.

EDDA WERFEL

Droży Czytelnicy!

Nie możemy sobie odmówić przyjemności opublikowania listu, który świadczy o naprawdę miłych stosunkach, jakie wytworzyły się między redakcją a Czytelnikami. Niestety drukujemy ten list i dlatego, że znowu jest on alarmującym sygnałem, jeśli idzie o kolportaż naszego tygodnika. Tym razem stwierdza on istnienie jakiegoś „abonamentu” w sprzedaży kioskowej, co jest oczywiście pomysłowe, ale niesłuszne. Wolelibyśmy raczej, aby „Ruch” przeprowadził starannie rozdział pisma na poszczególne kioski, zaspokajając rzeczywiste potrzeby rynku. Ten rozdział albo — jak mówią fachowcy — nadział jest obecnie tym ważniejszy, że wobec wyjazdów urlopowych poważnie uległa zmianie „geografia czytelnictwa”.

Ale oddajmy głos naszemu Czytelnikowi:

„Spośród niewielu moich namientów, jakie posiadam, największą jest czytanie. Od ukazania się pierwszego egzemplarza tygodnika „Świat” jestem jego stałym czytelnikiem.

Jak bardzo go sobie cenię i jak nie mogę bez niego się obejść, niech świadczy fakt, że, aby go kupić, jadę co tygodnia ze Sremu do Kórnik lub do Czempina (obie miejscowości odległe od Sremu około 20 km).

No, cóż tu dodać jeszcze? Chyba wyjaśnienie, że Srem to miasto powiatowe, Czempin i Kórnik to tzw. „Pipidówki”.

Oryginalny facet, prawda? Z miłości do tygodnika umawia się z nim aż o dwadzieścia kilometrów od miejsca zamieszkania, tak jakby w mieście powiatowym nie było sprzedaży.

Szanowny Redaktorze, jest sprzedaż, ale nie dla mnie! Tak jest niestety. Bardzo miła ekspedientka w kiosku „Ruchu” przy ul. Walki Młodych od szeregu miesięcy odmawia mi sprzedaży nie tylko tygodnika „Świat”, ale i innych.

Proszę posłuchać jak to się odbywa:

Wchodzę do środka z nadzieją kupna i mówię:

— Dzień dobry, proszę tygodnik „Świat” i „Dookoła Świata”.

— Nie ma już! — słyszę słodki głosik i w tym momencie panienka za ladą wyciąga spod niej plik gazet, między innymi tygodniki przeze mnie żądane, i wręcza je jakiemś kupującemu, który nawet nie płaci należności. Za nim następny itd. Wreszcie pytam:

— Proszę obywatelki, twierdziła obywatelka przed chwilą, że nie ma tygodnika „Świat”, a w moich oczach sprzedawała ich jakichś dwanaście sztuk.

— Bo oni mają abonament — odpowiada z przeuprzejmym uśmiechem.

— Jaki abonament? — pytam.

— A taki, że zamówili, więc się im zostawia, a inni niechają mają pretensję do tych, co za mało przysyłają lub drukują.

Drogi Redaktorze, proszę mi napisać, czy takie abonamenty istnieją, jeżeli tak, to proszę je w prasie zwać. bo psują innym krew, proszę mi napisać, dlaczego listonosze nie chcą przyjmować abonamentów, choć ja osobiście nie jestem zwolennikiem abonowania, uważam, że nie ma większej przyjemności, niż kupić sobie świeżo pachnący tygodnik czy gazetę — po prostu przyzwyczajenie albo taka namientność.

Ponadto proszę mi napisać, dlaczego w mieście powiatowym jest tylko jeden kiosk „Ruchu”?

Dlatego jest tak mało egzemplarzy poczytnych tygodników? Jak długo będę jeździł jeszcze po „Świat” 20 km?

A jeżeli nie może mi Obywatel Redaktor odpowiedzieć, to proszę choć jeden egzemplarz więcej dla mnie i wprost do domu — za tyle lat, to chyba niewiele? Zapłać — słowo daję!

Przesyłam wiele serdeczności i życzę, aby Tygodnik „Świat” zyskał sobie jeszcze więcej czytelników, bo wart tego!”

Inż. ZYGMUNT PIKULSKI

Srem, pow. Srem, woj. Poznań, ul. Dąbrowskiego nr 9

NOWOŚCI POETYCKIE KSIĘGA WIERZY POLSKICH XIX W.

Ułożył Julian Tuwim

Opracował i wstępem opatrzył

Juliusz W. Gomulicki

t. I s. 592, t. II s. 672, t. III s. 609 opr. płt. zł 36,—

K. I. Gałczyński

WYBÓR WIERZY

s. 321 opr. płt. zł 18,—

Jarosław Iwaszkiewicz

WARKOCZ JESIENI

s. 42 zł 1,—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

LENGREN



— Bierz dopłatę za pospieszny — hamulce nawałily!!

INDYJSKIE KSIĄZKI

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Popularno-Naukowego „Wiedza Powszechna” wydane zostały ostatnio następujące, ciekawe i pożyteczne pozycje książkowe:

L. LIPIN i A. BIEŁOW — „Gliniane księgi” (stron 418, zł 12.50). Z. WOLIŃSKI — „Poznajemy nasze zwierzęta” (str. 283, zł 7.—). B. LAPUNOW — „Z otchłani wieków”. T. REK — „Cienie przeszłości” (str. 149, zł 3.50). „Gliniane księgi” opowiadają w ciekawy sposób o życiu starożytnego Wschodu, o jego wysokiej cywilizacji i kulturze. Autorzy ujęli swą pracę w formę atrakcyjną i przystępną. Zainteresuje ona niewątpliwie szerokie rzesze czytelników tak miasta, jak i wsi.

Druga z kolei pozycja, zasługująca na podkreślenie, to książka „Poznajemy nasze

zwierzęta”. Jest to popularno - naukowy przegląd żyjących u nas ssaków, ujęty w formę żywych opowiadań. Autor wykazuje w nich współzależność pomiędzy budową ciała zwierząt i ich sposobem życia, a warunkami je otaczającymi.

Przekład pracy radzieckiego autora, wydany pt. „Z otchłani wieków” — to opis niezmiernie interesujących prac radzieckiego uczonego Gierasimowa, który opracował metodę odtwarzania postaci, a nawet rysów twarzy,

dawno zmarłych ludzi na podstawie szczątków kostnych. Metoda ta przyczyniła się do dalszego rozwoju nauk antropologicznych, etnografii i historii.

Ostatnia z wyżej wymienionych książek, „Cienie przeszłości”, jest jedną z prac dotyczących historii międzywojennego dwudziestolecia, w której omówiona jest reakcyjna, wroga działalność hierarchii kościelnej w stosunku do postępowego ruchu chłopskiego w tym okresie.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

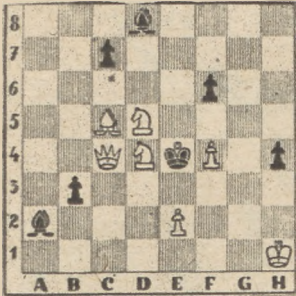
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkleśtodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 384. Papier rotogr. V/80-82 cm — 5-B-16661 podpisano do druku 7.VII.54 r.

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE VI. Pachman



Mat w 3 posunięciach

PARTIA NR 115

W lutym zmarł w Londynie na cztery dni przed swymi 89-tyłmi urodzinami arcy-

mistrz J. Mises. Zamieszcza-
my jego partię graną w V
rundzie międzynarodowego
turnieju w Petersburgu w
1909 r.

Obrona skandynawska

Białe: Schlechter
Czarne: Mises

1. e2-e4 d7-d5 2. e4:d5 Hd8
:d5 3. Sb1-c3 Hd5-a5 4. d2-
d4 Sg8-f6 5. Gf1-c4 Sb8-c6
6. Sg1-e2 Gc8-e6 7. Gf1-d3?
Należy tu grać 7. G:e6 f:e6
8. G:f4! Wd8 9. Hc1!
7... 0-0-0 8. 0-0 Ge6-f5! 9.
Gc1-e3 Gf5:d3 10. Hd1:d3 Sc6
-b4 11. Hd3-c4

Po 11. Hd2 Hf5 12. Wfcl e5
czarne przejęłyby inicjatywę.
W związku z tym Schlechter

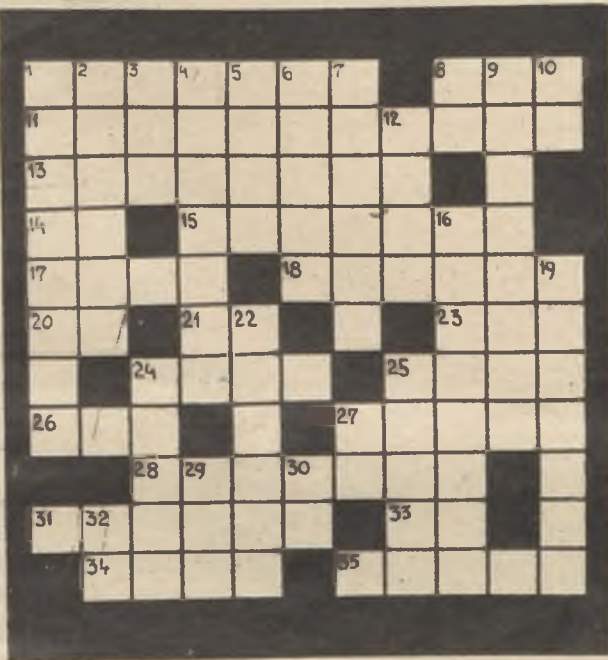
decyduje się na ofiarę piona.
11... Sb4:c2 12. Wa1-c1 Sc2:
e3 13. f2:e3 e7-e6 14. e3-e4
Wd8-d7 15. a2-a3 Sf6-g4 16.
Wf1-f3 Ha5-g5 17. Sc3-d1
Hg5-d8 18. Sd1-c3 Hd8-g5 19.
Sc3-d1 Hg5-d8 20. Sd1-c3
Hd8-g5 21. Sc3-d1 Gf8-d6!?
22. e4-e5?

Należało grać 22. h3. Teraz
czarne uzyskują decydujący
atak.

22... Gd6:e5! 23. d4:e5 Hg5-
h4 24. Wf3-g3
Na 24. h3 nastąpiłoby 24..
He1+ 25. Wf1 H:f1+! 26. K:f1
W:d1+ 27. W:d1 Se3+
24... Hh4:h2+ 25. Kgl-fl
Wd8:d1+! 26. Wcl:d1 Hh2:
g3+! i białe poddały się,
gdyż na 27. S:g3 nastąpi 28.
Se3+.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1) Imię żony Zy-
gmunta Augusta, 8) Dawny,
były, 11) Mechanizm spręż-
nowy łagodzący wstrząsy po-
jazdu, 13) Uczony zajmujący
się promieniotwórczością, 14)
Wykrzyknik, 15) Kompozytor

opery „Sprzedana narzecz-
na”, 17) Budowla łącząca
brzegi rzeki, 18) Anglosaskie
imię żeńskie, 20) Spółgłoska
(fonetycznie), 21) Jednostka
oporu elektrycznego, 23) Ptak
z rodziny łuszczaków, na

przodzie czerwono upierzony,
24) Ród u Celtów, 25) Inaczej:
kaleczy, 26) Matka Zeusa, 27)
Przyzwyczajenie, 28) Stolica
Kenii, 31) W księgowości: po-
prawienie błędu, sprostowa-
nie, 33) Symbol chemiczny
aktynu, 34) Niechęć, uraza,
35) Nazwa jednego ze zrzeseń
sportowych.

Pionowo: 1) Przyrząd wska-
zujący zmiany atmosferyczne,
2) Miłośnik, wielbiciel, 3)
Pierwiastek chemiczny, 4) Ga-
tunek papieru rysunkowego,
5) Drobnina materii, 6) Narzę-
dzie rytmiczne, 7) Związek
kwasu azotowego z tlenkiem
jakiegoś metalu, 8) „I” po ła-
cinie, 9) Krzewy o czerw-
nych jagodach, 10) Symbol
chemiczny strontu, 12) Wodo-
rost morski, na którym hodu-
ją bakterie dla celów nauko-
wych, 16) Część spodni, 19) W
muzyce: dodatkowy ton, 22)
Krzew owocowy, 24) Reguła,
zasada, 25) Ustępstwo od za-
sadniczej ceny, 27) Wykrzyk-
nik, 29) „Sztuka” po łacinie,
30) Litera grecka, 32) Zaimiek
wskazujący.

(Z. Boniowski — Kraków)

Rozwiązania należy nadsy-
łać w terminie 10-dniowym
od daty ukazania się numeru
pod adresem redakcji z do-
piskiem na kopercie „Roz-
rywki umysłowe”. Wśród
Czytelników, którzy nadeślą
prawidłowe rozwiązania, roz-
losowane zostaną nagrody
książkowe.

Niżej — suknia letnia jedwabna z materiału w pa-
ski. Można, oczywiście, uszyć ją również bez naszy-
wanych kieszeni na górze lub — jeśli spódnice uszy-
jemy z pasków wzdłuż — naszyć dwie wielkie kiesze-
nie na spódnicy z pasków wszcz. Szeroki pasek w
kolorze pasków lub, jeśli paski są czarne, czerwony
— będzie bardzo efektownym wykończeniem toalety.
Na górze — skromna biała suknia z płócienną ba-
wełnianego, piki jedwabnej lub grubszego jedwabiu,
tzw. „szmizjerka”. Kapelusz w kolorze paska lub z
jasnej słomki. Rękawiczki i pantofle — białe.



TANIO i ŁADNIE

CICHA WIEŚ NA BRZEGU PUSZCZY

Dokończenie ze str. 21

Helmut waha się tylko moment i skacze w bok, z
góry na dół po grzbiecie grobli, gdzie zakryją go krzaki
nad jeziorem. Ale chudy przewidział to. Chudy w ogó-
le w jednej chwili wszystko zrozumiał. Tu czuje się on
bez porównania pewniejszy niż w dziedzinie formu-
lowania zdań i układania protokółów. Chwyta ucieka-
jącego za pokrwawione kłapy płaszcza, przyciąga do
siebie, przed swoje rozjarzone pewnością oczy i rozka-
zuje:

— Mów! Mów, gdzie jest ten, coś go zabił?

I leśniczy nie spuszcza strzelby od oka widzi ze
złumieniem, jak człowiek w poplamionym płaszczu
szywnieje, przeży się, potem wyciąga rękę za siebie.
Chudy ani na chwilę nie puszcza Żaka, razem z nim
wbiega na zburzony most, przechyla się przez poręcz
i wydaje krzyk o wiele za głośny. Bo chudy jest chłop-
skim synem i nie nauczył się jeszcze reagować inaczej
na gwałtowne wypadki, niż to było zwyczajem ogółu
w jego wsi. Rozumie poza tym, że we dwóch nie mogą
trzymać podejrzanego i wyciągać topielca.

— Kto słyszy — ratuj! — woła, a jeziora niosą rezo-
nans ten krzyk. — Człowiek się utopił! Kto słyszy
ratuj!

Potężną gardziel ma ten chudy. Jakby cała ziemia
mazurska głosami jezior i puszczy powtarzała wołanie
prostego chłopca z Milicji Obywatelskiej.

— Kto słyszy ratuj!

Odbiega stary drwał od roboty, nasłuchuje, spieszy.

Sołtysowi mało wiosła nie pękła, pracuje z całych sił
kierując łódź w stronę wołania. Gdy przyplynał, spo-
strzegł na brzegu chudego stojącego razem z leśni-
czym. U ich nóg leżeli dwaj ludzie. Jeden z nich ręce
i nogi miał powiązane paskami od spodni, drugi nie
dawał znaku życia. Rysy obu zamazała krew.

— Jeden milczy, drugi trup. Niczego nie można się
dowiedzieć — powiedział leśniczy.

Sołtys pochylił się nad leżącymi, po czym nagle cof-
nął się o krok.

— Helmut Żak? — powiedział, jakby pytał, czy to
możliwe.

Leśniczy zrobił wielkie oczy, jego smolne brwi pod-
jechały całkiem pod czapkę.

Chudy burknął nieuprzejmie:

— No? Kapitan miał rację? Łazić i łazić.

A po chwili dodał:

— A ta... jak jej jest... Maria Kotarba, tak przepra-
szała, że mogła się tylko pomylić: nie pomyliła się ja-
koś, co?

Helmut spojrział na chudego, potem szybko przym-
knął oczy. Stary drwał wyszedł z puszczy, odłożył cien-
ki hebelek, co nim pnie drzew skórował, rozejrzał się,
przycisnął do mokrej koszuli Erwina.

— Ludzie. Ten żyje. Puka cosik w nim. Nie będzie-
cie ratować?

Leśniczy podszedł kołochliwym krokiem, przystanął
niepewny, pełen wahań.

— Takim jak oni lepsza śmierć... Tylko, że tu jeden
drugiego...

Chudy łokciem odsunął go na bok, przykleknął przed
Erwinem wołając:

— Najpierw rany zawiązać. Sztuczne oddychanie zro-
bić...

Niebawem Erwin otworzył oczy. Był zielonosiny, cie-
nie głębokie położyły mu się na policzkach. Skrzywił
się, wymiotował. Helmut Żak leżący tuż blisko splunął.

Wówczas Erwin spojrział w tym kierunku i zaczął mó-
wić z wysiłkiem, krótko łapiąc oddech:

— On i ja będziemy wisieć. On przyjechał z Ber-
lina. Z zachodniego. Ja z południowego. Ze wsi Czarny Bór.
Ja, głupi, byłem z nim w organizacji. On założył. Dla-
tego, żeby palić zbiory. Niszczyć spółdzielnie. Ludzi
likwidować. Wszystko powiem. Ale teraz...

Okłapił, głowę złożył w trawie pełnej żółtych mle-
czów, dyszał z wysiłkiem. Oczy zaszyły mu bielmem.
Chudy krzyknął do sołtysa:

— Dawaj łódkę! Jazda, prędzej!

Wymoszczono dno łodzi trzcina, złożono tam ranne-
go. Helmut, gdy się nad nim pochylił leśniczy, skoczył,
skrzywił się jak warczący pies i parsknął:

— Biercie mnie! Pamiętajcie tylko... Berlin będzie
o tym wiedział. Przyjdzie zemsta. Za mnie całą wieś
zlikwidują.

Gdy mówił, w kątach ust powstawała mu biała pia-
na.

— Tak. Biercie. Ja nie jestem ostatni. Dostę tu ta-
kich, co są wierni fuchrerowi. Dadzą wam zabawę w
bolszewizm. Dadzą wam granicę na Odrze i Nysie!

Chudy uchwycił go za ramię, pchnął do brzegu.

— Zamknij. My nie ciekawi. Wczoraj... no tak, do-
brze, że ci się wczoraj wypsło. Dziś trzymaj pysk. Da-
lej. Wsiadać.

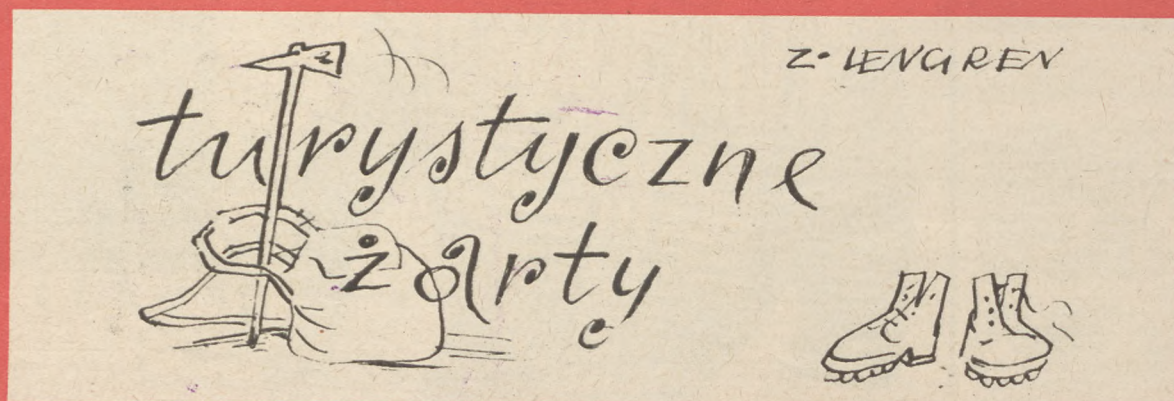
Stary drwał szedł brzegiem jeziora prowadząc oczy-
ma odpływającą łódź. Kiwał głową. Myślał o swoim
domku w puszczy, o wnuku, studiującym w Olsztyn-
nie, o błogosławieństwie codziennej pracy. Przystanął
wreszcie, bo zaczynało się trzęsawisko. Palcami zdrewn-
niałymi od roboty na deszczu i chłodzie zgarnął lepka
miazgę sosnową z małego hebelka, strząsnął na ziemię
mówiąc do siebie:

— Łada dzień, psuście, będziesz się mógł Hitlero-
wi pokazać i o nagrodę poprosić.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA



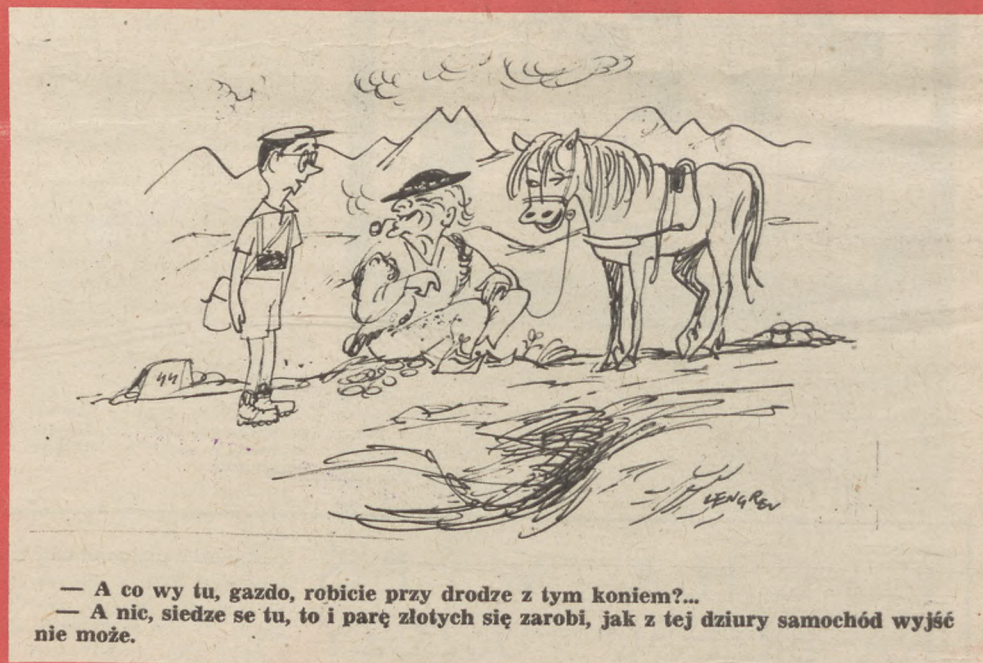
— ...Sprawdźmy lepiej na kompasie; morze powinno być gdzieś w kierunku północnym.



— ...O nie, na sam szczyt to się boję!



— Wstawaj, zobacz co za niespodzianka!



— A co wy tu, gazdo, robicie przy drodze z tym koniem?...
— A nic, siedze se tu, to i parę złotych się zarobi, jak z tej dziury samochód wyjść nie może.



— Może byś lepiej otworzył tę puszkę.



— ...Zamek ten nieraz opierał się najazdom barbarzyńców...

Biblioteka
Główna
Sopot